

GŁOSY PODOLAN

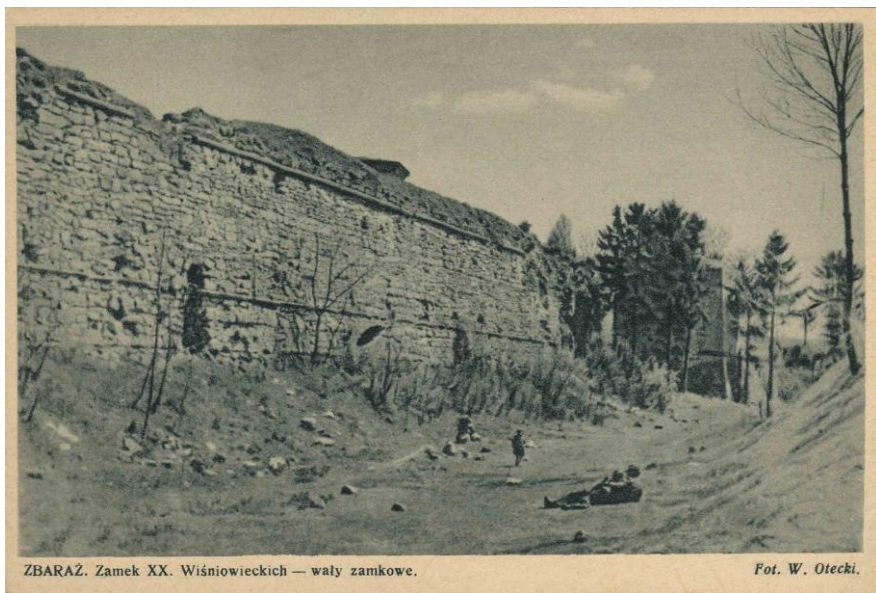


ISSN 1507-9996

Nr 172

STYCZEŃ-MARZEC

2026



ZBARAŻ. Zamek XX. Wiśniowieckich — wały zamkowe.

Fot. W. Otecki.

KWARTALNIK ODDZIAŁU TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW
LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH W POZNANIU

„Głosy Podolan”

Kwartalnik Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu.

Zespół Redakcyjny:

Igor Megger (Poznań) Redaktor Naczelny, Hanna Dobias-Telesińska (Poznań), Alicja Kocan (Warszawa), Robert Szczerkowski (Wrocław), Piotr Rudzki (Warszawa) korektor.

Adres do korespondencji:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział Poznań
„CK Zamek”, ul. św. Marcin 80/82 p.336
61-809 Poznań
Z dopiskiem „Redakcja Głosów Podolan”*

Adres e-mail: igor_mode@wp.pl

Tel. 728-252-793

Strona internetowa: www.lwowiacy.pl

Konto bankowe:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Poznań, ul. św. Marcin 80/82
PKO BP I O. Poznań*

Nr 06 1020 4027 0000 1302 0293 3455

Z dopiskiem: darowizna statutowa (na cele wydawnicze)

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania
i adiustacji nadesłanych tekstów.

Druk: „Orange House” ul. Sosnowa 38, Bielany Wrocławskie

Na okładce: Zbaraż – pocztówka z lata 30 XX w.

SPIS TREŚCI

Józef Zbigniew SIEGEL	
Saga rodziny Siegelów (cz. XV)	s. 1
Eugeniusz JAWORSKI	
Zbaraż w mojej pamięci - cz. II – ostatnia	s. 8
Władysław SMOŁA	
Imieniny Marszałka J. Piłsudskiego – 19.III.1935 Cz. II (Czortków)	s. 16
Igor MEGGER	
Byłem Rabinem Rzymu	s. 24
Zuzanna BENESZ	
Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” Cz. XXIII – Rodzina Tyrczów (Futury pow. Zborów)	s. 27
Stanisława PUCHAŁA	
Lata szkolne i ówczesne problemy młodego Daszyńskiego	s. 28
Igor MEGGER	
Rok 2026 Rokiem Błogosławionej Matki Elżbiety Róży Czackiej	s. 33
Jerzy MILLER	
Kalendarium pamięci narodowej – cz. I – 10 luty 1940	s. 40
REDAKCJA	
Rozwiązanie krzyżówki z numeru 171	s. 41
<i>Z ŻAŁOBNEJ KARTY</i>	
Marta MORAWIECKA	
Śp. Teresa Gaj z domu Partyka (1926-2025)	s. 42
Hanna DOBIAS-TELESIŃSKA	
Zmarł Władysław Siemaszko	s. 44
Zmarł Andrzej Kuczyński	s. 46
Igor MEGGER	
Odeszła jedna z ostatnich takich Dam (mjr. Helena Jabłońska) ..	s. 49
REDAKCJA	
Pieśni ludowe z Podola z nutami cz. XIII – Gdyby orłem być ..	s. 54



Józef Zbigniew Siegel

Warszawa

Saga klanu Siegelów

Cz. XV

Ostateczny wyjazd z Czortkowa nastąpił 8 marca 1944 r. i jak się okazało - na zawsze. Podróż pełna trudów i niebezpieczeństw szczęśliwie zakończyła się 13 marca 44 w Łazach. Teraz kto mógł i jak mógł, tak starał się włączyć w wiejskie obowiązki: a to obsługa bydła, a to wywóz gnoju na pola, kręcenie kołem sieczkarni, itd. itd. Stasia Majkowska-Adamiczkowa, jako nauczycielka z zawodu rozpoczęła tajne nauczanie dla kilkorga dzieci, w tym Zbyszka i Jurka Flasińskiego. Po dwóch miesiącach Stasia wyjechała do znajomych w okolicach Kielc. 17 czerwca do Łazów zjechał oddział żandarmów wyłapujących mężczyzn. Zbyszek z legitymacją z wpisanym rokiem urodzenia 1930 został przez żandarma potraktowany jako mężczyzna i wsadzony do ciężarowego samochodu razem z kilkunastoma innymi dorosłymi. Wisia i Wanda, które z domu Budysiów widziały to zdarzenie sądziły, że zatrzymani wraz ze Zbyszkim zostali wywiezieni na jakieś miejsce straceń. Jakaż była ich radość, gdy wieczorem Zbyszek i pozostali kolejno wracali do Łazów. Okazało się bowiem, że Niemcy wyłapywali mężczyzn potrzebnych im do budowy zasieków przed Bochnią. Po powrocie do Łazów Zbyszek opowiadał, że planował ucieczkę z samochodu żandarmów, ale trochę przeszkolony przez Kedyw w Czortkowie stwierdził, że w czasie jazdy szanse na ucieczkę były znikome. Należało czekać na moment rozładunku „skazańców” z samochodu. Na szczęście okazało się to zbędne. W godzinach wieczornych wszyscy zostali zwolnieni i po godzinie mogli być w domach, bo z Bochni do Łazów jest około 7 km.

W lipcu 1944 front na wschodzie zatrzymał się w rejonie Krosna-Jasła, kilkadziesiąt kilometrów na wschód od Tarnowa. Spodziewając się, że za kilka miesięcy, zimową porą Ruscy zaatakują w kierunku na Kraków i Katowice, Niemcy podjęli akcję bu-

dowy silnej linii obronnej na zachód od Tarnowa, a więc od Wiśnicza przez Bochnię do Wisły pod Sandomierzem. Dla tej budowy potrzebowali wielu tysięcy robotników. Zarządzili więc, że administracja obszaru budowy ma wyznaczyć jednego robotnika z każdego gospodarstwa do codziennej pracy przy budowie umocnień. W gospodarstwie Budysiów Józek samotnie wykonywał cięższe prace i dlatego ustalono, że to Zbyszek będzie go zastępował na niemieckiej budowie. Tak więc od połowy sierpnia 1944 roku do połowy stycznia 1945 roku Zbyszek był robotnikiem gigantycznego niemieckiego przedsiębiorstwa Organisation Todt, prowadzącego dla Wehrmachtu budowę kompleksów militarnych w całej Europie, m.in. Wał Atlantycki, lotniska, schrony dla Fuhrera i duże linie obronne, takie właśnie jak pod Bochnią (*od 1942 r. szefem organizacji był Albert Speer, zbrodniarz wojenny, skazany w Norymberdze na 20 lat więzienia*). Z tego tytułu Zbyszek codziennie, oprócz niedziel, bez względu na pogodę szedł lub jechał (jak było czym) na swój odcinek budowy pod Bochnią. Budowano linie okopów, schronów, bunkrów, zasieków itp. wojskowych umocnień. Za pracę dostawał wynagrodzenie w formie kostki margaryny lub pół litra wódki tygodniowo. Ponadto robotnicy codziennie otrzymywali męnążkę gorącej, wodnistej zupy z brukwi. Całą budowę nadzorowały oddziały niemieckiej żandarmerii, oddziały wojska słowackiego oraz nadzór techniczny, czyli tzw. „baumajstrzy” (niem. *Baumeister* – mistrz budowlany) pilnujący jakości i tempa wykonywanych robót. Baumajstrzy udzielali pozwolenia na odpoczynek, czyli „frisztik” (niem. *Fertig* – gotowy, skończony, zrobiony)¹. Po majsterskim gwizdku można było momentalnie przerwać pracę pozostawiając łopatę wbitą do połowy w ziemię, albo zrzucić byle gdzie niesioną faszynę, bo *Fertig* znaczyło *Fertig*. Jesienną porą, kiedy roboty prowadzono na terenie Brzeźnicy, Zbyszek z jakimś kolegą wypuścił się w czasie „frisztiku” do pobliskiego sadu po dojrzałe węgierki. Gospodarz przeganiając ich jakąś łopatą, czy czymś podobnym zawołał: - *Herr* majster !!! . Oni *arbeitennicht*, oni tylko

¹ To bardziej brzmi jak *Fruehstueck* - czyli śniadanie – przyp. red.

chodzą na śliwy!!! Na co *Herr* majster odpowiedział gospodarzowi – *Ja, ja!, Szliwy gut, szliwy Gut!* Chłopcy, dobrze już znający topografię gotowych rowów strzeleckich chowali się w jakimś bunkrze i dzielili się z *Herr* majstrem zdobytymi „szliwami”. Pod koniec 1944 roku powoli łagodniała presja władz niemieckich na zatrudnionych na budowie robotników. Częściej można było sobie pozwolić na tzw. „bumelkę”, albo na wcześniejsze urwanie się z pracy. Kiedy 12 stycznia ruszyła ofensywa zimowa, Niemcy całą służbę na budowie praktycznie przekazali w ręce Słowaków i wtedy już mało kto stawiał się na budowie.

Zamiast tego czas został poświęcony pracom w obejściu gospodarczym, Front zbliżał się szybko. 18 stycznia, Rosjanie byli już w Brzesku, Niemcy w Bochni, a nad Łazami słysząc było świst przelatujących pocisków. W tej scenerii Ludwika, Jurek i Zbyszek ładowali gnój z obory na wóz. Mróz był lekki i były dobre warunki do ciągnięcia ciężkiego wozu przez jednego konika po zamrożonym polu. Gnój był wywożony na tak zwaną „równianą łąkę” W pewnym momencie jeden z pocisków spadł i wybuchł na Dańcowym polu, chyba w odległości ok. 50m, a Zbyszek z Jurkiem natychmiast tam pobiegli w poszukiwaniu odłamków. Nic nie znaleźli i wrócili do przerwanej roboty, czyli do pomocy Ludwice Budyśównie w rozrzucaniu obornika po roli. Po powrocie do wsi przekonali się, że w Łazach panuje ogromne podniecenie. Słysząc było narastającą kanonadę, w niebo strzelały rakiety, Nikt nie spał. Rano Zbyszek z Jurkiem wyszli na główną szosę Tarnów-Kraków i przed południem mieli okazję witać pierwsze patrole sowieckiej armii, żołnierzy ubranych w białe kombinezony, z lekką bronią ręczną. Po godzinie zaczęła płynąć całą szerokością szosy wielka armia frontu ukraińskiego.

Następnego dnia Zbyszek z Jurkiem piechotą powędrowali do Bochni. Ludzie porządkowali miasto po Niemcach. Sprzątany był też budynek dawnego Gimnazjum i Liceum im. Kazimierza Wielkiego zawałony pozostałościami po niemieckim szpitalu polowym. Dwa dni przyszedł gimnazjaliści porządkowali budynek, po czym zdawali egzaminy wstępne do klas, które przerwała im wojna.

Było nawet 9 uczniów chcących zdawać matury. Zbyszek Siegel i Jurek Flasiński mimo, że mieli zaczęty program gimnazjalny dla pierwszych klas w tajnym nauczaniu zdawali egzamin. Wynik egzaminu - pozytywny.



Powitanie „wyzwolicielei” na bocheńskim Rynku- 20 stycznia 1945 r.

W pierwszych dniach do szkoły trzeba było przychodzić z własnym taboretem. Do Bochni i z powrotem chodziliśmy ok. 7 km, okrężną drogą przez pola, gdyż trasą krakowską było niebezpieczne. Szosą przez długi czas płynęła na zachód olbrzymia armia i zdarzały się wypadki celowo powodowane przez ruskich kierowców. Po około miesiącu opiekunka klasy, pani Wójtowicz, dowiedziawszy się, że uczeń Siegel jest bezdomnym Kresowianinem, wystarła się o miejsce dla niego w bocheńskim „Caritasie”. Zbyszek chętnie z tego skorzystał. Ten zakład opiekuńczy dał schronienie kilku uczniom gimnazjalnym oraz uchodźcom po Powstaniu Warszawskim. Jeden z mieszkańców schroniska, przygotowujący się do matury ciągle był uzbrojony w pistolet. Wojna jeszcze trwała, a on

nadal był żołnierzem podziemia w służbie Polsce reprezentowanej przez rząd na emigracji. W dniu zakończenia wojny w Europie całe gimnazjum wraz ze wszystkimi mieszkańcami Bochni wylegli na bocheński Rynek, gdzie odbyła się wspólna, patriotyczna manifestacja. Czas jeszcze jest trudny, ale idzie ku lepszemu. Pewnego dnia Zbyszek spóźnił się na lekcje o trzy godziny, a jego usprawiedliwienie, że stał w kolejce po chleb (biały) zostało przez wychowawcę przyjęte ze zrozumieniem. Z tamtego czasu Zbyszek wspomina szczególnie wydarzenie. Otóż 31 października 1945 roku zmarł w Krakowie Wincenty Witos, wielce zasłużony działacz chłopski i polityk. Uroczystości pogrzebowe rozpoczęły się 2 listopada w Krakowie, skąd kondukt pogrzebowy w asyście banderii krakowiaków, pocztów sztandarowych oraz tłumów ludzi pieszo przemierzał drogę do Wierchosławic koło Tarnowa.

Na Rynku w Bochni kondukt miał postój na noc. Przez cały postój trumna Wincentego Witosy była otoczona wartą honorową w strojach krakowskich. W banderii brał udział nasz kuzyn Józef Budyś. Przez wiele wieczornych godzin mieszkańcy Bochni, a wśród nich i Zbyszek, oddawali cześć wielce zasłużonemu działaczowi narodowemu. Jako że rok szkolny rozpoczął się w styczniu, trwał też przez cały czerwiec i lipiec. Na krótkie wakacje Zbyszek mógł liczyć tylko w Łazach. Został tam przyjęty gościnnie otrzymując dach nad głową i bardzo smaczny chleb na stole. Dla mieszczucha, jakim przecież był Zbyszek, udział w pracach rolniczych, takich jak żniwa kosą, młocka cepem, mielenie mąki w żarnach, dojenie krów, jazda konna na oklep, itp. czynności były i przyjemnością i chęcią odpłacenia się za gościnę. We wrześniu 1945 Zbyszek z Jurkiem wracają do „budy”, ale jakiej to budy!

Gimnazjum Jana Kazimierza odzyskało należącą do niego przed wojną bursę z całym gospodarskim „obejściem”. Zbyszek jako Kresowiak i Jurek jako niezamożny mieszkaniec odległej wsi Łazy zostali przyjęci na stały pobyt w bursie. Nie mogli sobie wyobrazić lepszego pobytu, jak w bursie prowadzonej przez katechetę, księdza Czaplińskiego. Takich katechetów – wychowawców, ze świecą można by szukać, bo kto to widział księdza, który oprócz

odprawiania modlitw w kaplicy trenował mieszkańców bursy i gimnazjalistów w siatkówce. I to nie na byle jakim poziomie. Ilekroć Zbyszek bywał w Bochni odwiedzając groby rodzinne na bocheńskim cmentarzu, zawsze pamiętał o odwiedzeniu grobowca księdza Czaplińskiego.



Jurek Flasiński po latach. Fotografia ślubna z Michaliną. W środku Elżbietka Siegelówna

Jeszcze jeden szczegół z tego czasu. Zbyszek mający dostęp do bogatej szkolnej biblioteki, za każdym razem kiedy szedł do Łazów zabierał dla swojej przyjaciółki Krystyny Piszczek interesujące ją tytuły. Z czasem ta przyjaźń przerodziła się w pierwszą młodzieńczą miłość, którą w zarodku zgasiły żarty na ten temat jej braci: Mietka i Staszka Piszczków. Wakacje roku szkolnego 45/46 Zbyszek spędza częściowo w Łazach, a częściowo w Nysie u siostry Wisi. Niestety, o powrocie Zbyszka do bursy na kolejny rok 46/47 nie mogło być mowy z uwagi na jego chłopcę chorobę nerwową, na którą w owym czasie miejscowi lekarze nie znaleźli lekarstwa. Dlatego też Wisia załatwiła Zbyszkowi lokum u cici Jadwigi

Siegel, wdowy po stryju Józefie, bracie ojca Jana. W czasie nauki w gimnazjum Zbyszek należał do drużyny harcerskiej i przeszedł wspaniały obóz letni nad jeziorem Rożnowskim, koło Nowego Sącza. Rok szkolny 1947/48 zaczyna już w Nysie, w nowopowstałym gimnazjum i liceum energetycznym, które (co było niezwykle istotne) zapewniało bezpłatne pełne utrzymanie i mieszkanie w bursie. Po zdaniu matury absolwent był zobowiązany do podjęcia pracy w zawodzie technika elektryka w zakładzie wskazanym przez Zarząd Energetyki. Do tej szkoły wstąpiła młodzież głównie ze Śląska, o bardzo komunistycznym nastawieniu, a harcerstwo było tam uznawane jako organizacja wręcz reakcyjna. W pierwszy roku szkolnym podczas obchodów rocznicy Rewolucji Październikowej Zbyszkowi wetknięto do niesienia czerwoną szturmówkę. Po doświadczeniach sowieckiej okupacji 1939-41, ta czerwona szturmówka parzyła Zbyszka w ręce, nic więc dziwnego, że przy pierwszej nadarzającej się okazji wetknął ją w krzaki. Groziło to wydaleniem ze szkoły. Przez cały czas pobytu w Nysie Zbyszek działał w harcerstwie jako drużynowy oraz zastępca hufcowego ZHP. W 1949 r. odbył kursy dla kadry instruktorskiej: jeden w Wiśle, a drugi w Górkach Wielkich. W 1950 r., wobec podporządkowania ZHP partyjnej organizacji młodzieżowej ZMP i określenia ZHP jako OH, Zbyszek zakończył swoją harcerską służbę. Zwolnienia ze służby udzielił mu Komendant Chorągwi Katowice, druh Zawada, były powstaniec śląski.

W roku 1950 Zbyszek zdał maturę i otrzymał nakaz pracy zobowiązujący go do jej podjęcia w Węglińcu, gdzie była mała elektrownia na węgiel brunatny. Miejsce pracy było w lasach, około 15 km od Zgorzelca. Dla Zbyszka było to „propozycja” nie do zaakceptowania, gdyż pozbawiała go możliwości kontynuowania nauki w formie studiów na politechnice. Młody Siegel nie odpuścił i osobiście udał się do kadr Centralnego Zarządu Energetyki w Warszawie. Podróż zaowocowała zmianą nakazu pracy na Okręg Dolny Śląsk Rejon Wrocław. Pracę we Wrocławiu Zbyszek rozpoczął w sierpniu, co pozwoliło mu na zdawanie egzaminu i rozpoczęcie studiów na pierwszym roku wydziału elektrycznego dla pracujących Politechniki we Wrocławiu. Cdn.

Eugeniusz Jaworski
Żagań

Zbaraż w mojej pamięci z lat szkolnych i czasu wojennego cz II - ostatnia

Zbliżał się koniec podolskiej srogiej zimy - był początek marca. Choć był to koniec przełomu zimowego, to jednak nocki były dość mroźne, bo mróz sięgał do -20 stopni.

Mieszkańcy naszych dwóch wiosek czuwają przez cały czas w dzień i w nocy. Spodziewamy się napadu lada dzień, szczególnie obawiamy się niespodziewanego podpalenia. Ale już od wschodu było słyhać daleką kanonadę, zbliżała się jakaś nadzieja. Wieczorem stojący na wysuniętych posterunkach *osoby starsi* z kierunku Łubianek usłyszeli jakiś duży szum silników czołgowych i pojazdów na kierunku Łubianki-Zbaraż, a późnym wieczorem strzały z broni lekkiej w samym Zbarażu. Nie wiadomo, co się działo tak późnym wieczorem i w nocy. Raniutko od strony gościńca zwanego tatarskim szlakiem zbliża się w kierunku naszej wsi pododdział wojska prowadzący konie i wozy. Okazuje się że to wycofują się Niemcy. Zatrzymali się na kilka godzin tu w naszej wiosce, proszą o siano dla koni. Po krótkim wypoczynku idą w kierunku Stryjówki i tam organizują obronę. Za kilka godzin, przed obiadem, zbliża się drugi pododdział w szyku bojowym i obstawia naszą wioskę strzelcami i karabinami maszynowymi od strony Zbaraża. Na drodze ustawiają działko 45 mm również skierowane na Zbaraż. Około godziny 14.00 zwijają obstawy, biorą od nas podwozy na saniach i udają się do wsi Stryjówka. Tam organizują obronę w brzegach rzeki Nuryniec. Następnego dnia nad ranem wartownicy zauważyli zbliżające się od tej strony Łubianek dwie osoby na konikach. Wartowników jest kilku. Dwóch wychodzi z ukrycia z widłami celem zatrzymania, a reszta stoi w pogotowiu do ich obrony. Zatrzymują tych jeźdźców, okazuje się że to sowiecka *razwietka*, Sałaty na konikach małych z automatami.

Pytają, czy tu są *frycy* (Niemcy), informują ich, że tu nie ma, ale są cztery kilometry w następnej wiosce. Ci zawrócili konie i pojechali z powrotem. Przed południem patrzą wartownicy od strony szlaku tatarskiego, że nadciągają wojska sowieckie, które to rozeszły się po gospodarstwach we wsi na odpoczynek. Kuchnia i tabory zajęli na podwórko Tadka Sobczynskiego, gdzie podjęli gotowania posiłków. Po krótkim postoju wszystko pomaszerowało na Hrycowce. Wieczorem rozpoczęła się walka o Stryjówkę. Jak opowiadał mi Franek Fryga mieszkaniec Hrycowiec w czasie tej bitwy bardzo dużo padło ruskich - rannych i zabitych (około 100), a Niemców 15. Rannych transportowano furmankami do polowego szpitala, który był rozmieszczony na folwarku w Łubiankach Niższych. Reszta Niemców wycofała się do Tarnopola i tam bronili się do końca kwietnia. A rannych przywozili do polowego szpitala, który mieścił się w szkole Hrycowieckiej. Tu przy szkole chowano *saldatów* zmarłych z ran.

Raniutko kilku z nas chłopców wybraliśmy się do miasta Zbaraża zobaczyć, co się tam dzieje. Śnieg na nieprzetartej drodze, mróz złagodniał, ale my idziemy na zwiady zobaczyć, co nowego jest w mieście w Zbarażu. Zbliżamy się do miasta, a tu przed nami kilka czołgów okopanych na wygonach i skierowane mają działa na wschód. W mieście słysząc pojedyncze strzały, idzie nas kilku: Stach Machinka, Kamil Brągiel, i ja wchodzimy do miasta przez „opłotki” dzielnicy pod plac Sokoła. Tu leżą zabici niemieccy trzej żołnierze. Nikt nimi się nie interesuje. Dalej stoi czołg sowiecki, przy nim się kręci kilku *saldatów*. Ale my idziemy na plac Sokoła, bo tam są magazyny niemieckie i wiele osób buszuje po tych różnych skrzyniach. Z budynku Sokoła wynoszą ludzie jakiś zboże, a my szukamy za bronią i amunicją. Wpada na koniu jakiś Rusek i pyta czy tu nie ma Germanów. Odpowiadają mu, że nie ma. Ten pojechał dalej. Na placu Sobolakówny rozłożony niemiecki duży namiot warsztatowy, też są jakieś osoby i czegoś szukają, wszystko zabierają, co tylko się da. Kolega Kamil Brągiel znalazł niemiecki dobry karabin, na placu Sokoła nakrywa go płaszczem i wynosi idąc

w kierunku „Oplotek” na drogę do Kretowiec. Ten chłopak później przepadł w nieznanych okolicznościach.

Teraz my we dwóch idziemy do klasztoru, bo tam też były duże magazyny wojskowe. Weszliśmy na teren kościoła, a tu się kręcą żołnierze sowieccy, łazimy po pomieszczeniach, wszędzie wszystko poprzewracane. Stach znalazł karabin i już chce z nim wychodzić, ja biorę skrzynki z amunicją dużą i jakąś lufę z komorą zamkową, też kieruję się do wyjścia. A tu wchodzi sowiecki żołnierz i nas woła: *pacany podejdite bliźsze*. Podchodzimy, a skóra nam cierpnie i strach ogarnia, a zbliża się zimowy wieczór marcowy. Bierze nas obydwu i prowadzi w kierunku Załuża. Mijamy młyny Billera, i Zacharasiewicza, a za nimi niedaleko Browar piwny. Wprowadza nas tutaj i każe zabrać dwie skrzynki piwa. Są bardzo ciężkie, bo jest po 16 butelek i chyba litrowych. Ale on bierze w środku, a my po bokach i idziemy z powrotem pod klasztor. Zanosimy na jakąś kwaterę i nas zwalnia. Robi się wieczór. Zastanawiamy się co robić, czy wrócić po znalezioną broń czy już iść do domu. Wracamy, zabieramy swoją zdobycz, bo po to my tu przyszliśmy i kierujemy się przez oplotki z powrotem na drogę do domu. Żołnierze stojący przy czołgach nie zwracają na nas uwagi, co niesiemy. Wieczorem dotarliśmy do domu zadowoleni ze swojej zdobyczy. Broń została zaraz sprawdzona i służyła nam do samoobrony aż do chwili wyjazdu na zachód.

W niedługim czasie (23 marca) odbyła się mobilizacja mężczyzn do wojska, a nas młodocianych zrobiono wartownikami tych dwu wsi. Organizacją tą dowodził *Hołowa* Markowski Szczepan. Tak że mogliśmy nosić broń jawnie w dzień i w nocy. Później nas zarejestrowano w Wojenkomacie jako Żołnierzy Polskich Oddziałów Samoobrony (Istribitielne Bataliony). Od tego czasu podlegaliśmy pod Wojenkomat w Zbarażu. Ale większa część służby odbywała się na miejscu w Kretowcach i w Hrycowcach. Organizowano z naszych chłopców grupy do wyjazdów na wioski ukraińskie po pozostawione tam mienie na niektórych gospodarstwach polskich. Takie wyjazdy były, a są mi znane: na Nowy Rogowiec, do Klebanówki i na wioski tuż przy granicy wołyńskiej między innymi w

Nowikach. Były to wyjazdy bardzo niebezpieczne. Były jeszcze wcześniejsze wyjazdy w głąb Wołynia, organizowane przez AK w jesień 1943 r. po żywność. Bo u nas kwaterowało dużo rodzin z Wołynia, a z zaopatrzeniem było krucho. Po przejściu frontu przez nasze okolice wiele pozostawało *uwięźniętych* pojazdów na polach i na zarwanych mostkach. Taki był wypadek na drodze z Łubianek Niższych do naszej wsi: jadąc bocznymi drogami przez pola jeden *saldat* prowadził samochód zdobyczny niemiecki „Sahara”. Zaczepił dolną część silnika o wystający na miedzy kamień i rozwalił sobie miskę olejową, czego skutkiem był wyciek oleju. Ten samochód miał na sobie dwie beczki benzyny, kilka skrzynek granatów, kilka skrzynek amunicji, no i broń długą: karabin niemiecki, karabin rosyjski, pepeszę oraz radiostację niemiecką. To był koniec marca 1944 r. Kierowca tytułował się czołgistą i nosił czołgową czapę.

Nocowanie na polu było dla niego uciążliwe i dlatego przychodził do wioski po żywność i trochę się ogrzać, co jakiś czas był u innego gospodarza. Najczęściej chodził do *Hołowy*, a był nim Markowski Szczepan, gdzie wyznaczano mu zakwaterowanie. My chłopcy zawarliśmy z nim znajomość do tego stopnia, że nas prosił do samochodu i dawał nam tam trochę postrzelać.

I tak u niego byliśmy kilkakrotnie, żeby z różnej broni wypróbować, choć strzelanie nie było nam już obce. Nieraz zanieśliśmy mu kilka jajek, by mógł sobie tam ugotować. Jednego razu poszliśmy we trójkę: Franek, ja jako najstarszy i mój młodszy brat Czesław.

Wzięliśmy po kilka jajek z domu, by mu dać, bo on tam miał na skrzyni ładunkowej piecyk z rurą wypuszczoną przez plandeki do góry, gdzie smażył lub podgrzewał sobie jedzenie. Miał tam trochę mokrego drzewa do tego piecyka i kiedy tam zaszliśmy było bardzo zimno i była zawieja śnieg zasypywał za nami drogi.

Mróz sięgał do 15 stopni. Wleźliśmy na skrzynię samochodową, gdzie leżały jego skrzynki i inne ładunki, wśród nich kanistry z benzyną i wymieniony sprzęt, zasznurowaliśmy plandeki z tyłu, żeby trochę zatrzymać tego ciepła i się ogrzać. Ten nakładł do pie-

cyka drzewa, a ono nie chce się palić. Wtem otworzył kanister i nalał do pustej puszkii konserwowej benzyny nie zamykając kanistra. Zaczął podlewać ogień w piecyku, wpięrow ogień objął benzynę w piecyku, a za chwilę zapaliła się puszkia w rękach, do tego cofając rękę zapalił kanister, na który narzucił kozuch. W tym czasie ja rozplątałem z tyłu plandekę i wypchałem brata na zewnątrz w śnieg, za nim wyskoczył kolega Franek, ponieważ kanister nie został zgaszony, on wyrzucił go na zewnątrz za Frankiem. Benzyna rozlewając się i paląc zapaliła część ubrania Franka i w mniejszym stopniu brata. A ja po ugaszeniu ognia na samochodzie wyskoczyłem do ratowania ich. Kanister po śniegu latał zapalony jak *lutlampa*. Na szczęście jak już byłem przy nich ogień został na nich zgaszony przez taczanie się w śniegu - Natomiast kanister jeszcze się dopalał. Skutki tego były takie że Franek miał poparzoną część twarzy i ręce, a brat jedną rękę, Ale mogło to być o wiele tragiczniejsze, gdybym nie rozsnurował w tak szybkim czasie plandeki i ich nie wypchnął na zewnątrz. Na wozie była amunicja i granaty i wiele benzyny.

Po tym wypadku *sałdat* już do nas nie przychodził, siedł poza centrum wsi tam, gdzie go mniej znali. To my wykorzystaliśmy z drugim kolegą, Dolkiem Budzynem. Jednego wieczora jak już upewniliśmy się, kiedy on opuszcza ten samochód poszliśmy we dwójkę i zabraliśmy mu dwie skrzynki amunicji do broni niemieckiej i skrzynki granatów ruskich. To wszystko zanieśliśmy do gospodarstwa kolegi Dolka do szopy i tam schowaliśmy. W ten sposób dozbroiliśmy się na wypadek napadu na naszą wieś banderowców.

Po niedługim czasie w kwietniu przyjechała ekipa ciężkim samochodem i go ściągnęła z pola na podwórko do Rutkowskich. Tu go naprawiono i dalej pojechał na front, który był już za Lwowem. W czasie przejścia oddziałów frontowych i pozafrontowych pozostawiono dużo sprzętu *zagrzęźnietego* w błocie na naszych drogach i uszkodzonego w wyniku marszu. W czasie walk o Tarnopol rozmieściły się u nas na gospodarstwie Michała Budzyny warsztaty naprawy samochodów. Były dość dobrze wyposażone,

posiadały agregat prądowórczy, elektryczną spawarkę i inne narzędzia. Naprawiały samochody: *Sztudebakery*, *Dodge*, *Wilisy*. Obawialiśmy się wykrycia tych warsztatów przez niemieckie samoloty, które od czasu do czasu latały i bombardowały Tarnopol oraz kolumny na drogach. I jeden raz takie wydarzenie miało miejsce. Przed wieczorem, po naprawie samochodu *sztudebakera* wyjechali mechanicy na jazdę próbną drogą do Zbaraża. Z miasta wracali już na światłach. Zauważył to samolot niemiecki i ich dogonił i rzucił na nich trzy duże bomby. Ci uciekając *zgasili* światła i wjechali do wąwozu koło naszego cmentarza. Kretowieckie chatki się zatrzęsły. Na szczęście bomby były *nietrafne*. Dwie wybuchły przy drodze na wprost byłego folwarku „Łanku” na polu, a jedna nie wybuchła i zrobiła głęboką dziurę i tam pozostała chyba do dzisiaj.

Tak ten czas nam uciekał aż do wyjazdu naszych rodzin na stacji do Zbaraża.

Jeszcze jedno ciekawe przeżycie. Na początku sierpnia 1945 r. jak mieliśmy się wybierać na zachód, za zgodą rodziców wybrałem się do Tarnopola na handel. Kazał mi ojciec sprzedać trochę tytoniu, którego my w domu *plantowali*, a było to gdzieś około 5 kg. Jeszcze za czasów przedwojennych uprawiano u nas tytoń *Kentucky* i *Machorka*, którego odstawiano do Monopolu do Tarnopola. Tym bardziej że trafiała mi się okazja jechać z jednym kolegą, który mieszkał w Tarnopolu, a przebywał u nas na zarobkowaniu u gospodarzy Winnickich. On wracał do domu, bo siostra starsza już szykowała się do wyjazdu na zachód. W takiej sytuacji on musiał zrezygnować z zarobkowania i wracać do domu.

Był dwa lata młodszy ode mnie, a był mi bliskim kolegą i lubilem z nim pasać krówki na łąkach gminnych. Na odchodnym dali mu gospodarze ćwierć metra pszenicy. Do stacji w Maksymówce zostaliśmy dowiezieni furmanką, gdzie i ja się zabrałem ze swoim bagażem. Tu nas rozładowali, żeby zaczekać na najbliższy pociąg do miasta Tarnopola. Tak czekaliśmy aż do godzin poobiednich i nareszcie się zatrzymał jeden towarowy, który przyjechał z Podwołoczysk. Już nie czekaliśmy na inny, tylko ładujemy się do niego. Wagony węglarki o podłogach pochyłych ale to nic, wdrapa-

liśmy się przez drzwiczki rozładownicze i wsadziliśmy nasze ładunki, on pszenicę, a ja tytoń, i czekamy na odjazd. Po jakimś czasie ruszyliśmy w drogę, która ciągnęła się aż do późnych godzin wieczornych. Choć do Tarnopola nie było daleko, bo tylko 30 km., ale dla nas jazda z różnymi postojami była długa. Długo staliśmy w Borkach Wielkich. Późnym wieczorem wysiedliśmy na stacji towarowej ze swoim ładunkiem. Co robić, on nie może dźwignąć swego bagażu, bo ma lat 14, ja starszy mam już 16 lat, biorę jego bagaż na plecy, a on mój i idziemy na skróty do jego domu. Przyszliśmy zmachani tym dźwiganiem. Tylko tyle szczęścia, że nie było daleko od stacji.

W domu u niego wszystko wyprzedano, a spanie przygotowano na podłodze. Idziemy już odpoczywać po tej podróży. Rano po śniadaniu, które przygotowała siostra coś na gorąco. Ja idę na targowisku sprzedać *za rubli* swój tytoń. Tylko wszedłem na targowisko, zaraz miałem kupca, no i sprzedałem. Wracam do kolegi, zabieram swoje manele i idę na stację, a tu stacji nie ma, a pełno gruzów. Przy stacji porządkują teren jacyś żołnierzy sowieccy z automatami i kilkunastu niemieckich jeńców. Czekam cierpliwie na pociąg osobowy, który ma jechać o godzinie 12 z minutami ze Lwowa na Podwołoczyska, nawet dalej do Wołoczysk za byłą granicę sowiecko-polską. W międzyczasie dowiaduję się od *osoby, który też czeka*, że ma jakieś spóźnienia i dopiero będzie późniejszą porą po obiedzie. Ja jednak czekam, bo nie mam innego wyjścia. Za jakiś czas podjeżdża pociąg towarowy z ładunkiem różnych maszyn i żelastwa. Na jednym wagonie siedzą ruscy żołnierze i palą papierosy. Przychodzę do dyżurnego i pytam czy ten pociąg leci na Podwołoczyska, mówi, że jedzie. Idę do ruskich i pytam, czy można się dosiąść. Zezwalają - *dawaj pacan siuda*.

Włazę do nich, a pociąg rusza, jadę nareszcie do Maksymówki. Jest już późno po obiedzie, choć jest to sierpień i niedaleko, bo około 25 km. Znow mamy postój, nawet dość długi, a wieczór robi się na dobrze. Ruszamy dalej i jedziemy nawet dość szybko, ale co gorzej pociąg nie zatrzymuje się w Maksymówce, a jedzie dalej. Dopiero zatrzymał się w Bogdanówce. Nie wysiadam, bo tu

były morderstwa Polaków, i zdecydowałem jechać aż do Wołoczysk na stronę sowiecką. Schodzę tutaj z wagonu, no i czekam na osobowy, który przyjedzie po północy ze Lwowa. Chodzę po peronie, żeby nie usnąć, a koło pierwszej przyjechał osobowy ze Lwowa. Wsiadam i czekam na odjazd. I tak sobie liczę, że jeden przystanek to Podwołoczyska, drugi Bogdanówka, a trzeci Maksymówka, więc tu muszę wysiadać. Jadę i bardzo zbiera mi się na sen. Pociąg, gdy rusza ze stacji tak zakołysał wagonami, że się otrząsałem i już mi się spać nie chce, ale to tylko na chwilowo. Tuż przed samą stacją Maksymówka zasypiam i nie słyszę, jak pociąg się zatrzymuje. Przebudzam się jak pociąg ruszył, chcę wysiąść, lecę do drzwi, których nie mogę otworzyć. Wyskakuję przez okno i to w ręce dyżurnego Ukraińca. Ten krzyczy do mnie: czego wyskakuje przez okno. Ja się tłumaczę, że drzwi nie mogłem otworzyć. Proszę go, by mi zezwolił na dyżurce zaczekać do ranka, bo wszędzie ciemno. On mi zezwala i ja wchodzę za nim do pomieszczenia. Siadam tuż przy drzwiach na krzesło. I czuвам, czy się za mnie nie weźmie. Ale widzę, że on też się rozsiada, by pospać na siedząco.

Tuż nad samym rankiem, gdy się zaczęło rozwidniać, wyskoczyłem z dyżurki i biegnę na drogę do Kretowiec, dopiero jak wyszedłem na pola zacząłem się rozglądać i zwolniłem. Ale gdy odszedłem na odległość ponad gdzieś kilometr, oglądałem się, że ktoś też idzie w tym samym kierunku. Więc musiałem również przyspieszyć krok. Kiedy już zbliżyłem się do wioski, spotkałem nasze patrole nocne, które schodziły z miejsc czuwania i mnie zatrzymują. Ja im opowiadałem swoje przygody. Tu już jestem bezpieczny. Okazało się, że to siedł mój ten kolega, który wrócił też z Tarnopola po resztę swych rzeczy pozostawionych u gospodarzy, gdzie pracował. Tylko on wrócił bezpośrednio pociągiem osobowym i czekał na poczekalni w ciemności, a ja na towarowym zajechałem aż do Wołoczysk. Po przyjeździe do domu już się martwiono, co się ze mną stało, że nie wróciłem wczoraj. Ja opowiadałem swoje przygody za cały ten czas, ale wszyscy byli zadowoleni, że wróciłem cały do domu, no i przywiozłem ruble. Był to czas, kiedy już część naszych mieszkańców wyjeżdżała na stacji do Zbaraża celem udania się do

Polski, toteż w domu ojciec z matką szykowali się do tego już wyjazdu. Takie to były przeżycia moje czasu wojennego.

Smola Władysław

Imieniny Marszałka J. Piłsudskiego – 19.III.1935

Cz. II – ostatnia

Z Archiwum Ireny Kotowicz

**Zygmunt Nowakowski „Fatygancji” - /kawalek nie tak wytwor-
ny jak inne moje felietony/**

Ilustrowany Kurier Codzienny nr 21 z 21.I.1935 poniedziałek

Dawno temu, jeszcze jak śp. Dyrektor teatru, otrzymałem patriotyczną sztukę, w której chwycił mnie za serce następujący dwuwiersz:

Gdy Niemcy spalili Kalisz,
Mało mnie nie tknął paraliż ...

Byłem pewny, że już nigdy nie spotkam się z lepszym rymem, ponieważ Kalisz-paraliż jest niewątpliwie przebojem I klasy. A jednak! Jednak znalazł się rym w tejże samej kategorii, bo również geograficzno-patriotyczny, który jako grubo śmielszy, zdystansował poprzednika: „Imienin-pienin”... Cały wiersz brzmi:

Marszałkowi w dniu imienin
Od fal morskich aż do Pienin,
Wisły, Dniestru, Brdy i Niemna,
Płynie pieśń ta wciąż brzemienna...

Jakoś nie było mnie dotychczas w Czortkowie, ale wiem, że gród ten leży nad Seretem. Nie sądzę przecież, aby cytowany wierszyk i pomysł, o którym będzie mowa niżej, zrodził się nad samym Seretem. Raczej geneza jego wiąże się jak najściślej z pewnym prawobrzeżnym dopływem Seretu. Mam na myśli rzekę, która wypływa w pow. Czortkowskim, w Pauszówce, koło Trawnej, rzeki legendarnej, o nazwie tak skandalicznej, tak wyuzdanie trywialnej,

że próżno byłoby jej szukać na mapie przeznaczonej do użytku szkolnego. Jednym słowem – co tu owijać w bawełnę – idzie o słynną rzekę, do której zazwyczaj jeździ się na raki.

Przykro mi, że o niej piszę, ale czynię to pod wpływem przymusu psychicznego. Zresztą, czytelnik usprawiedliwi mnie z pewnością.

Otrzymałem z Czortkowa papierek tak niebywały, że muszę podzielić się z Państwem jego treścią. Na dobrą sprawę powinienem przedrukować ten kawałek in extenso, bo to jest coś wyjątkowego. Łzawiąca bomba śmiechu!

Przy wyjeździe Kiepur z Krakowa byłem do tego stopnia przygnębiony uczuciem radykalnej pustki, że po prostu żyć mi się nie chciało. I nagle to pismo... ono potrafi wskrzesić umarłego! Dawno, dawno nie śmiałem się tak całą parą. I teraz jeszcze, pisząc, wybucham raz po raz opętanym śmiechem, ponieważ zaś pragnąłbym z całego serca – by i w Belwederze było wesoło, przeto pozwolę sobie to pismo czortkowskie polecić Sekretarzowi Pana Marszałka.

Cytowany wierszyk ma ozdobić ażurową misę, która będzie wyrazem uczuć całego społeczeństwa polskiego (i nie tylko polskiego). Ufunduje ona misę 108 miast „rozsianych po całej Polsce”, ufunduje w ten sposób, że każde miasto przyśle jedną literkę na blaszce mosiężnej, przy czym poszczególnie blaszki z literkami odpowiadającymi dokładnie liczbie liter w cytowanym wierszyku – plus data imienin. Z tych właśnie blaszek powstanie misa ażurowa. Przymiotnik „ażurowa” dostatecznie rozprasza wszelkie wątpliwości, jakie mogłyby powstać na temat zastosowania takowej.

Misa otrzyma jeszcze furał z herbami tych 108 ciemnogrodów polskich, wykonanymi techniką „introwersyjną”... Ostatni termin nadsyłania blaszek do 20 stycznia, czyli do dziś właśnie. Projektodawcy stanowią „ochotniczy zespół ludzi” ... Ich szef, burmistrz Czortkowa pisze w zakończeniu odezwy: „Może by nie od rzeczy było w dniu 19 marca 1935 wysłać do Marszałka telegram takiej mniej więcej treści: „potwierdzamy i podpisujemy w ten sposób treść życzeń naszych na misie zamieszczonych „od fal mor-

skich aż do Pienin, Niemna, Dniestru, Brdy i Wisły płynących i do Belwederu zdążających”.

Pan Burmistrz mniema, że to będzie nie od rzeczy, ja zaś jestem zdania wręcz przeciwnego. To jest w ogóle od rzeczy. Pan Burmistrz chce naprawdę urządzić powódź im. Marszałka Piłsudskiego. Bo jakże to sobie wyobrazić: fale morskie idą aż do Pienin, stamtąd walą w stronę Niemna, niszczą wschodnią połąć kraju, aby przedostać się do Dniestru. Mało im tego: dewastują zachodnie tereny, aby następnie, przepelnivszy brzegi Wisły, zalać Belweder? Ładne imieniny! Już teraz módlmy się do Boga, aby chronił nas przed bałwanami idącymi aż do Pienin.

To byłoby nic, że taki pomysł urodził się nad wspomnianym, prawobrzeżnym dopływem Seretu, lecz co gorsza, na te bzdury dało się nabrać rzeczywiście sporo miast polskich. Z komitetów biura prasowego, jakie założył „ochotniczy zespół ludzi” dowiaduje się, że np. „Literę „B” przysłał już Buczac z Bydgoszcz”. Inne litery przysłały Kielce, Baranowicze, Zamość, Horodenka, Łańcut, Rzeszów, Ilża itd. itd. przy czym „magistrat lubelski wystąpił z dodatkowym, projektem „groszowego funduszu pozłocenia misy”. Komunikat zaznacza, że „fatyga jej pozłocenia ma kosztować 200 zł” ... „Fatyga!”... O fatyganci niestrudzeni ! Myślę, czy nie było by od rzeczy pofatygować się i pozłocić wasze niemądre pały ...

Ten ruch ogarnął, jak widać, cały kraj. Zwłaszcza obciążenie wsi o gmin „groszowym funduszem pozłocenia misy” wywołało powszechną radość. Komunikat nr. 2 określa to następująco: „entuzjazm treści pism niektórych miast, dołączony do nadsyłanych w załączeniu liter”... tego jeszcze nie było jak świat światem: entuzjazm dołączony w alegatach! Załączniki uczuciowe ...

Myślę, że bezwarunkowo powinien wyjść jakiś dekret o stosowaniu kary cielesnej w wypadku załączonego entuzjazmu, bo inaczej ci ludzie nie oduczą się przenigdy. B.B. powinno wystąpić z wnioskiem nagłym. Czy ktoś przypuszczałby, że jest rzeczą możliwą, aby w roku 1935 rozsyłano po całej Polsce drukowane komunikaty, które mówią, że „misa staje się podarkiem coraz bardziej społecznym, ogólnonarodowym, a nawet państwowym” ... I przy spo-

sobności skomponowano jeszcze nowy wierszyk, który zakasował wszystkie poprzednie:

Oto próbka: Treść życzeń obok misy kwitnąca,
A z miast-kominów, wiejskich brogów płynąca.
I na misie między motylami,
To jest dar polskiej wspólnoty,
Z krwi, zachwytu, tęsknoty
Widniejąca...

W pierwszej chwili chciałem autorowi życzyć, aby go tknął rym do „Kalisz”, jednak porywa mnie śmiech bezapelacyjny: „Polska wspólnota”... czy może „wspólnota interesów?”... I to drukuje się na papierze z firmą Magistratu!.. A, zapomniałem dodać, że ta państwowa misa ma być wykonana („benedyktyńska praca”, jak pisze z upoważnienia burmistrza referent sprawy) z ... motyli mo siężnych, ofiarowanych przez Borszczów. Co za rura w Borszczowie wpadła na ten koncept!

Myśleliście państwo, że to już chyba kończy się seria non-sensów? Nic podobnego! Następuje bowiem ostateczna redakcja życzeń. To korona wszystkiego.

Serca swoje tu złożyli:
Warszawa – w blask szkieł swój szczerzy,
Gminy i wsie – w blaski złota,
Czorków – w swoją tu robotę,
Borszczów – w dwa wieńce motyli,
Rembertów – w swój sześcian święty,
Sinków – we wzór ten tu zdjęty,
Miasta polskie w swe litery ...

Zapamiętamy nazwy tych miast po wieczne czasy i każde z nich powinno otrzymać zaszczytny przydomek „semper fajdalis” ... I rodzaj misy w herbie...

To impreza na kolosalną zakrojona miarę. Komiwojażerzy od misy kursują po całym kraju tryndając się między Nowym Targiem a Baranowiczami. ... Czy kosztą podróży kryje się z groszowego funduszu pozłacania misy?... Pewne miasta okazały daleko

idącą gorliwość. Np. prezydent Lublina jest „ojcem chrzestnym” owego funduszu groszowego. Bydgoszczy natomiast należy się wdzięczność ze najpiękniej wykonane litery, Dąbrowie Górniczej – za najwspanialszy grawer, Poznaniowi – za najstaranniej wykonany herb swojego miasta.

Ale np. Kałusz jeszcze nie gotów. I całe szczęście, że komitet jest cierpliwy i pisze do tegoż Kałusza: „czekamy na literę z przyjemnością do 20 stycznia”. Cóż za opieszałość! Czy tam wszystko robią tak na ostatnią chwilę?

Cyrkularz z „załączonym entuzjazmem” powędrował do Krakowa, gdzie w pospiesznym tempie zredagowano (nie ja!) odpowiedź dość nieprzyzwoitą. Ale może w tym wypadku odpowiadająca gustowi solenizanta, który przepada za jędrnym żołnierskim humorem.

I Kraków na znak entuzjazmu szczerzy

Dołączy chętnie aż cztery litery.

I wzywa /by ciągły był łańcuch danin/

Miasta: Dubno, Ustroń, Przeworsk i Anin.

Całe szczęście, że ta rzecz nigdy nie pójdzie w zapomnienie, komitet bowiem zapewnia, że jeśli idzie o korespondencje poszczególnych miast w tej materii: „koperty, na pewno, a ewentualnie pisma również staną się zawiązkiem Muzeum Miejskiego w Czortkowie”. Zaiste, będzie to Muzeum wyjątkowych osobliwości. Warto wybrać się tam...

Ale na zakończenie nie chciałbym uderzyć w zupełnie inny ton. Półtora roku temu była wspaniała, niezapomniana defilada kawalerii na Błoniach Krakowskich. Pisałem o Piłsudskim Konradzie z „Wyzwolenia”, cytując słowa z II aktu, gdy Konrad w rozmowie z maską tworzy „nieodwołaną, artystyczną formę państwa”.

A teraz przychodzi mi do głowy inna scena z tegoż aktu „Wyzwolenia”. Scena z misą... Scena, która zawsze budziła we mnie uczucie niezmierniej ulgi. Konrad stawia na podłodze misę z pięknie brzęczącego metalu uczynioną, napenia ją napojem słodowym... I do tej misy z piwem wchodzi przy blasku kagańca

wszystkie maski. Wchodzą – i toną w nie jak ... karaluchy. A do tychże masek mówi poprzednio „Wy, hołota, którzy nie czuliście dumy nigdy, chyba wobec biedy i nędzy, której nieszczęście potracaliście sytym brzuchem bezczelników i pięścią sługi. Wy, lokaje i fagasy”

Oby Konrad, którego widziałem na Błoniach Krakowskich, w blasku słońca – oby tenże Konrad misą z pięknie brzęczącego metalu uczynioną postawił na podwórku belwederskim ... Widzielibyśmy, jak do tej misy włożą miski obłudy, pochlebstwa, lokajstwa...

Niech wejdą i szczeną w niej!

„Felieton Z. Nowakowskiego na Radzie miasta Lublina”

Ilustrowany Kurier Codzienny nr 32 z 1.II.1935 piątek

Felieton Z. Nowakowskiego na łamach IKC pt. „Fatyganci” odbił się w Lublinie głośnym echem. (...) Humorystyczna misa wywołała na posiedzeniu Rady Miejskiej w Lublinie istną burzę (...)

W odpowiedzi na wyjaśnienia prezydenta miasta radny Barczik, twierdząc, że zarzuty postawione przez autora felietonu okazały się całkowicie słuszne, i nadmieniając, że cała sprawa nie ma żadnych momentów politycznych, postawił wniosek, aby Rada Miejska wyjaśnienia prezydenta nie przyjęła do wiadomości (...)

Gazety lubelskie zamieściły wielkie artykuły poświęcone felietonowi Z. Nowakowskiego.

M.in. „Ekspres Lubelski” pisze: „Zdaniem naszym autor „Fatygantów” poszedł z wyciąganiem wniosków za daleko.

Może nie lokajstwo i służalczość, ale po prostu bezmyślność i głupota! Przecież zacytowane wierszyki i tekst proponowanej depeszy aż nadto wyraźnie charakteryzuje autorów pod względem intelektualnym.

Oto po prostu głupie i pocziwe prowincjonały, wśród których nie brak niebezpiecznych grafomanów, chciało się czymś wyróżnić. Kto wie, czy w marzeniach swoich burmistrz Czortkowa,

jako inicjator, nie widział się na czele delegacji owych 108 miast składającej misę w Belwederze? A potem fotografia, artykuły w prasie itd... wydanie na koszt państwa tomu poezji opracowanej w zacisznym czortkowskim gabinecie, laury... Każdy marzy o sławie jak umie.

To, że na zew bratniego Czortkowa pospieszyły Horodenki, Iłże, Borszczowy, Łańcuty itd. nie zmienia w niczym sytuacji. Gorzej, że w zacnej tej skąd inąd kompani znalazły się takie miasta jak Bydgoszcz, Poznań, Lublin”

I w innym miejscu pisze:

„(...) W rezultacie nie byłoby owych mis ażurowych i grafomańskich wierszyków, spłodzonych przez burmistrza lub burmistrzową”

A „Kurier Poranny” w Warszawie nadmienia:

„(...) Poza formalnym potraktowaniem wniosku (na Radzie Miejskiej w Lublinie) pozostaje jeszcze sprowadzenie całej tej przejawiskawionej i przeczulonej sprawy do szczupłych ram małego epizodu, który nie powinien nawet zaprzętać głów radnych”.

(...) IKC został w mieście rozchwytyany, a do dziś dnia jeszcze wycinek z felietonu kursuje z rąk do rąk. Takiej burzy dotychczas jeszcze w Lublinie nie wywołał żaden artykuł.

Komentarz:

Dziwnie i tragicznie obszedł się los z tymi dwoma ludźmi: Michałowskim i Nowakowskim.

St. Michałowski, człowiek kryształowego charakteru, wraz z innymi gorącymi patriotami aresztowany został w zimę 1939 przez NKWD. Z chwilą uderzenia Hitlera na ZSRR przewieziony został z więzienia w Tarnopolu do Charkowa i odtąd słuch po nim zaginął. Chodziły pogłoski, że przed wkroczeniem Niemców do Charkowa zmarł z głodu i wycieńczenia.

Z. Nowakowski, śladem wojennych emigrantów, wyjechał do Anglii, gdzie wygłaszał w radiu krótkie eseje historyczne oraz wysyłał je do druku w pismach. Zmarł w Londynie bodajże w 1965 r.

Obaj musieli opuścić ojczyznę i zmarli na obcej ziemi.

Żona burmistrza Michałowskiego była długie miesiące ciężko chora na gruźlicę, po czym zmarła.

Autorem wierszyków, pomysłu z „misą” oraz korespondencji z miastami w sprawie owej „misy”, był wyłącznie p. Artur Halkiewicz, nauczyciel j. polskiego w seminarium nauczycielskim. Burmistrz Michałowski, udzielając nieostrożnie pełnomocnictwa Halkiewiczowi, mógł oczekiwać od niego, że nie popełni niczego, co mogło by się kłócić z zasadami j. polskiego i zdrowym rozsądkiem.

Po zajęciu Czortkowa przez wojska radzieckie 17 września urządziły nowe władze w ostatniej dekadzie września 1939, zebranie wszystkich nauczycieli szkół czortkowskich celem wysłuchania ich opinii odnośnie do nauczania w nowych warunkach. Po wypowiedzeniu się nauczycieli Żydów, głos zabrał dyrektor gimnazjum ukraińskiego, który tak gwałtownie zaatakował Polaków, zarzucając im szereg inwektyw. Drwiąc na temat klęski poniesionej przez Polaków itp. W imieniu polskich nauczycieli głos zabrał A. Halkiewicz, który oświadczył, że wszyscy Polacy wstrząśnięci są poniesioną klęską, wskutek czego potrzebują czasu na ochłonięcie i ustosunkowanie się do władz radzieckich i z wielką godnością i odwagą odparł napastliwe zarzuty ukraińskiego dyrektora.

Niestety, dokładnego tekstu przemówienia Halkiewicza nie posiadam, niemniej jego polscy koledzy (i nie tylko polscy) wyrażali opinię, że wystąpienie p. Halkiewicza jak najbardziej odpowiadało uczuciom Polaków, gdyż cechowała je powaga i zgodność z honorem Polaka, nawet pokonanego.

Historia dziwnymi chodzi drogami. Ten, który swą niepoważną grafomanią spowodował ośmieszenie burmistrza Czortkowa w całej Polsce, po klęsce wrześniowej swym odważnym i na poziomie wystąpieniem obronił honor polskiego nauczyciela w Czortkowie w obliczu nowych władców miasta.

Igor Megger
Poznań

Bylem Rabinem Rzymu



Miasteczko Brody, przynależące w okresie II Rzeczypospolitej do województwa tarnopolskiego, było miastem z jednym z największych procentów ludności mniejszości żydowskiej w stosunku do innych narodów w przedwojennej Polsce. Nie dziwi więc fakt, że niektórzy z nich, rozjeżdżając się po świecie zrobili karierę daleko od miejsca swojego urodzenia.

Izrael Anton Zolli (Zoller) urodził się 27 września 1881 roku w Brodach w rodzinie pokoleniowo rabinistycznej. Studiował w kolegium rabinackim i równocześnie studiował filozofię na uniwersytecie w Wiedniu, a później we Florencji. W 1910 doktoryzował się we Florencji z psychologii eksperymentalnej. W 1920 został mianowany rabinem Triestu we Włoszech. Zolli urodził się uchodził za wybitnego biblistę.

W 1933 roku otrzymał, z własnego wyboru, obywatelstwo włoskie i został zmuszony do zmiany nazwiska z Zoller na Zolli. W tym czasie był wykładowcą języka i literatury hebrajskiej na Uniwersytecie w Padwie, skąd został zwolniony z powodu swojego pochodzenia. W 1940 roku Zolli został naczelnym rabinem Rzymu.

Już samo zostanie naczelnym rabinem Rzymu przez osobę urodzoną na naszych ziemiach jest faktem godnym wspomnienia i odnotowania. Jednakże zasłynął on jeszcze z jednej rzeczy, o wiele „głośniejszej” i rozpoznawalnej.

W czasie II Wojny Światowej, pomimo iż Włochy były sojusznikiem Hitlera, Żydzi prócz ograniczonych częściowo praw, nie

byli szczególnie prześladowani. Ich gehenna rozpoczęła się dopiero po lądowaniu Aaliantów we Włoszech, i związanym z tym upadkiem Mussoliniego. Wtedy to kiedy do północnych Włoch wkroczyły oddziały niemieckie zaczęły się ich prześladowania.

Szczególnie zapisało się wydarzenie z września 1943 r., gdy realizujący ideę "ostatecznego rozwiązania" we Włoszech SS-Obersturmbannführer Herbert Kappler zażądał od miejscowej wspólnoty żydowskiej 50 kg złota, które stanowić miało okup za odstąpienie od wywózki rzymskich Żydów do obozu zagłady w Auschwitz-Birkenau. Na zgromadzenie takiej ilości kruszcu dał on wspólnocie dobę, co wystarczyło, by zebrać 35 kg. Z prośbą o pozostałe 15 kg I. Zolli zwrócił się w imieniu gminy do papieża Piusa XII. Zanim jednak Ojciec Święty zdążył odpowiedzieć (pozytywnie zresztą), brakujące złoto podarowali Żydom oddolnie członkowie włoskich wspólnot katolickich. Niestety wiarołomstwo Niemców wzięło górę i pomimo zebranego okupu Niemcy wywieźli do obozu 2 tysiące Żydów.

Prawdopodobnie ten "stempel chrześcijańskiej miłości", jak o czynie Rzymian pisał we wspomnieniach I. Zolli, stał się katalizatorem duchowej przemiany, ku której intelektualnie rabin skłaniał się już wcześniej. Drugim kluczowym zdarzeniem do jego przemiany było wydarzenie, o którym pisze autorka jego biografii Judith Cabaud (katolicka konwertytką z judaizmu). Pod koniec 1944 przewodnicząc podczas uroczystości Jom Kipur, Zolli doświadczył mistycznego spotkania z Jezusem Chrystusem. Później, w domu, okazało się, że widzenie miały również jego żona i córka. Nie śmiejąc polemizować z samym Mesjaszem, Zolli kilka dni później złożył rezygnację ze sprawowanej funkcji w gminie.

Następnie już po zakończeniu działań wojennych, I. Zolli przeszedł na katolicyzm przyjmując 13 lutego 1945 chrzest, biorąc jako chrzestne imię Eugenio (od tego momentu używał nazwiska Eugenio Zolli).

Imię to przyjął w dowód wdzięczności dla papieża Piusa XII – Eugenio było jego świeckim imieniem. Wdzięczność ta spowodowana była wkładem Piusa XII w ratowanie mniejszości żydowskiej, oraz uratowanie Rzymu jako miasta („Miasto otwarte”) przed zniszczeniami wojennymi (dopiero kampanie antypapieskie w latach 60, oraz sztuka „Namiestnik” niesprawiedliwie zmieniła jego wizerunek wśród społeczeństwa).

Chrzest przyjęła również jego żona i, kilka miesięcy później, córka Miriam (I. Zolli miał dwie córki, Dorę z pierwszego małżeństwa z Adelą Litwak i Miriam z drugiego). Jego decyzja o przejściu na katolicyzm została odebrana z dużym zaskoczeniem i dezaprobatą środowisk żydowskich. Ze względu na groźby i pogróżki żona i córka znalazły schronienie w jednym z żeńskich klasztorów, a sam były rabin zamieszkał czasowo w siedzibie Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego. W późniejszym czasie został zatrudniony przy Papieskim Instytucie Biblijnym.

W 1956 roku poważnie zachorował i trafił do szpitala, gdzie podobno wykryli zakonnicy, że umrze w pierwszy piątek miesiąca o 3:00 po południu. 2 marca 1956 roku Zolli przyjął Komunię Świętą rano, w końcu zapadł w śpiączkę i zmarł, jak przewidywał, o 15:00 w pierwszy piątek miesiąca w wieku 74 lat. Został pochowany na cmentarzu Campo Verano w Rzymie.

Jego najważniejsze dzieło stanowi *Il Nazareno* wydane w 1938 przez Istituto delle Edizioni Accademiche w Udine (wydanie polskie: Nazarejczyk, tłum. ks. prof. Artur Jerzy Katolo, Fundacja Instytut Globalizacji, Gliwice 2015). Jest także autorem autobiografii *Byłem rabinem Rzymu* (tytuł oryginału: *Prima dell'alba. Autobiografia autorizzata*), w Polsce wydanej w 1999 przez Wydawnictwo Fronda oraz w 2007 przez Wydawnictwo Salvator.

Źródła:

Zolli Eugenio, *Byłem rabinem Rzymu*, 2007.

Wojteczek Karol, *Dlaczego naczelny rabin Rzymu przeszedł na katolicyzm*, artykuł na www.aleteia.org

Zuzanna Benesz

Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” Cz. XXIII – rodzina Tyrczów

Przedruk ze strony: www.sprawiedliwi.org.pl

W czasie II wojny światowej Sebastian i Anna Tyrczowie mieszkali w Futorze k. Zborowa² na terenie dzisiejszej Ukrainy, gdzie prowadzili gospodarstwo. Dzielili dom z synem Michałem, jego żoną Apolonią, ich trójką dzieci i synem Stefanem.



Rodzina Tyrczów

Sebastian Tyrcz znał Leona Kronischa jeszcze przed wojną – prowadzili razem interesy. W czasie likwidacji getta w Zborowie, Sebastian Tyrcz pomógł przedostać się rodzinie Kronischów na „aryjską” stronę miasta. Od kwietnia 1943 r. do września 1944 Tyrczowie ukrywali rodzinę Kronischów wraz z kuzynami – Leną Adler, Rachelą, Iry i Irvingiem Gerberami, a także dziesięcioletnim chłopcem Zysiem Bergerem. Tyrczowie przygotowali im kryjówkę w wybudowanym przez Sebastiana i Michała bunkrze. Kryjówka była oddalona od domu o piętnaście minut drogi. Tyrczowie co-

² Obecnie część miasta Zborowa, znane także pod nazwą Olszamażur – przyp. red.

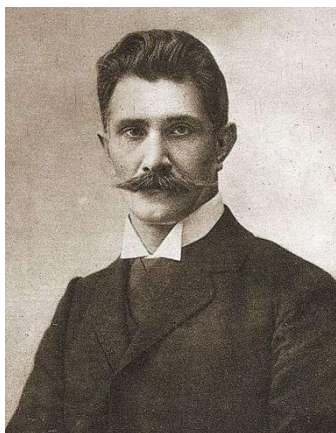
dziennie dostarczali ukrywającym się jedzenie opakowane w gazetę, której czytanie stało się jedyną formą spędzania czasu w kryjówce.

Pewnego dnia ze strachu przed podejrzeniami sąsiadów Ira Gerber i Zysio Berger opuścili bunkier. Miało to tragiczny skutek. Niemcy znaleźli ich i rozstrzelali. Pozostała część rodziny spędziła noc na strychu stodoły. Następnego dnia wróciła do kryjówki w bunkrze. Wszyscy siedmioro przeżyli wojnę.

Po wojnie Kronischowie wyemigrowali do Kanady. Dzięki ich pomocy w późniejszym czasie Stefan i Apolonia również wyjechali do Kanady i tam zamieszkali. Podczas uroczystości odznaczenia rodziny Tyrczów tytułem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata Stefan Tyrcz mówił o motywacji niesienia pomocy rodzinie Kronischów: „Byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Zdawaliśmy sobie sprawę z ryzyka, ale nie powstrzymało nas to od udzielenia pomocy”.

Stanisława Puchała
Smolec

Lata szkolne i ówczesne problemy młodego Daszyńskiego



Polityk, premier i marszałek Sejmu Ignacy Daszyński urodził się w Galicji w 1866 r w Zbarażu. Rodzicami Ignacego byli Ferdynand Daszyński i Kamila z Mierzeńskich herbu Leliwa. Ojciec był urzędnikiem w starostwie, matka Kamila pochodziła ze zubożałej rodziny szlacheckiej spod Stanisławowa. Ignacy w swoich pamiętnikach wspominał miasto Zbaraż, którego obrona przeszła do legendy od czasu, gdy w XVII wieku załoga licząca 14 tysięcy żołnierzy wytrzymała długotrwałe oblężenie 300 tysięcy wojsk kozacko-tatarskich. O mieście i domu rodzinnym pisał:

„Mieszkaliśmy nad miasteczkiem na wzgórzu, spadającym ku rzece Gnieźnie, we własnym domu wśród kwiatów, ogrodu warzywnego i sadu. Granice nasze przytykały do tzw. „Lip”, tj. przepięknej promenady wśród podwójnych rzędów starych drzew lipowych, należących do zapadłego zameczku Wiśniowieckich. Tutaj miał się przechadzać niegdyś młody król polski, Michał Korybut Wiśniowiecki. Opodal od „Zamku”, budynku z XVII stulecia, otoczonego fosą i wałami, ciągnął się ogromny staw zbaraski z brzegami zarosłymi gęsto wysokim szuwarem. Tutaj starsi bracia uczyli mnie pływać w bardzo prosty sposób. Pokazano mi, jak się pływa i rzucono na głęboką wodę! Reszta należała już do mnie. Na przedmieściu Zbaraża, w Starym Zbarażu, widne były na wyniosłym wzgórzu ruiny starego zamku. Niedaleko „Księży Lasek”, miejsce majówek i wycieczek ludności zbaraskiej. Całą okolicę miasteczka zwiedziłem w nieustannych pochodach i wycieczkach, tłukąc się na cudzych koniach po pastwisku, piekąc w rowie ziemniaki w jesieni i doznając przeróżnych „przygód”.

W domu był nadzwyczaj surowy system wychowania dzieci. Kiedy ojciec wchodził do pokoju, wszyscyśmy wstawali i czekali aż się pozwoli. Ojciec był do czwartego lub piątego roku dziecka tkliwym i pieszczotliwym; skoro tylko chłopak zaczynał cokolwiek rozumieć, zaczynał się rygor prawdziwie żelazny. Absolutne milczenie w towarzystwie ojca było koniecznym obyczajem, o obcowaniu dzieci z ojcem nie było mowy. Ojciec sam był człowiekiem milczącym i był znany w całej okolicy z wielkiej prawości charakteru. Był on biczem bożym dla każdego blagiera w towarzystwie, bo nie lękał się powiedzieć prawdy w oczy najwpływowszym ludziom. Ze starostą Niemcem, biurokratą żył na bardzo złej stopie, zwłaszcza w czasach powstania 1863 r. i po powstaniu. Kiedy Niemiec starosta wysyłał ojca do okolicznych dworów dla odbywania rewizji i poszukiwania powstańców, musiała matka moja na kilka godzin przedtem jechać, co koń wyskoczy, dla ostrzeżenia we dworze przed rewizją. W ten sposób oczywiście służbistość mojego ojca okazywała się w bardzo niepewnym świetle w oczach przełożonego. Chłopi i Żydzi zachowali przez długie lata bardzo miłą pamięć o moim ojcu,

jako urzędniku. Pamiętam niejedną burzliwą scenę w domu, kiedy próbowano ojca przekupywać podarunkami — wedle powszechnych praktyk ówczesnych. Ojciec wracał z urzędu i wówczas okazywało się, że przysłana dziczyzna, ryby itd. były łapówką. Kazał to bez litości wyrzucać i groził skargą biednym faktorom żydowskiem, których użyto jako pośredników. Ale na Boże Narodzenie gmina żydowska przysyłała ojcu co roku ryby, co się zakorzeniło, jako zwyczaj odwieczny. Ostatnich dziesięć lat życia był ojciec chorym człowiekiem.” Ferdynand Daszyński zmarł nagle -w pracy- w roku 1875 pozostawiając żonę Kamilę z pięciorgiem dzieci. Najmłodszy z czterech synów Ignacy miał wówczas 9 lat. Młodszą o pięć lat od Ignacego była Zofia. Po śmierci męża Ferdynanda borykająca się z problemami finansowymi wdowa, chcąc zapewnić dzieciom wykształcenie i oszczędzić na opłatach za stancje zmieniała miejsce zamieszkania dostosowując je do miejsca pobierania nauki dzieci. Najpierw z młodszymi dziećmi: Feliksem, Ignacym i Zofią zamieszkała w Stanisławowie, gdzie Feliks (ur. 1863) uczęszczał do szkoły realnej, a Ignacy, dla którego starszy o trzy lata brat był wzorem- do gimnazjum. O pobycie w Stanisławowie Ignacy Daszyński pisał: *„Życie nasze stało się bardzo skromne i pracowite.(...) Toteż zacząłem już w pierwszej klasie dawać lekcje kolegom. Wraz z bratem byliśmy najlepszymi uczniami w szkole. Przez pięć lat blisko owej nauki gimnazjalnej nie miałem żadnych podręczników i uczyłem się u moich uczniów, bo lekcji miewałem po trzy i cztery. Byłem dumny z tej pracy, bo odziewałem się zupełnie za własne pieniądze, a nawet czasem mogłem matce drobnostką dopomóc.”*

Bardzo życzli - z wybujałą wyobraźnią - bracia Feliks i Ignacy Daszyńscy byli bardzo zdolnymi i aktywnymi uczniami. Założyli kółko liczące ponad 30 osób ćwiczące na błoniach Bystrzycy tężyznę fizyczną, i zapoznające się z literaturą historyczną oraz inną. Samodzielni jak na swój wiek, odcytani Daszyńscy, w kwestiach patriotycznych uważali, że każdy szlachetny Polak winien być skorym do największych ofiar dla ojczyzny celem jej wyzwolenia z rąk tyrana. Takim w ich mniemaniu był cesarz Franciszek I, którego pomnik stał przed budynkiem gimnazjum. I dlatego,

jak wspominał Ignacy Daszyński: „jednej nocy ubraliśmy ten pomnik po swojemu... Rano zobaczył tłum młodzieży gimnazjalnej, spieszący do szkoły, dziwny pomnik; z głowy zwieszała się długa na metr szlafmyca, zrobiona z nogawki kalesonów jednego z kółka. Że wybrano nie najczystsze, można łatwo zrozumieć... Twarz i piersi zamazane były podejrzenie brunatno żółtą farbą, berło tak samo. Nauczyciele odpędzili skwapliwie młodzież od tego dziwnego widoku, a stróż gimnazjalny z policjantami mieli na drabinach dość roboty przy zmywaniu gorącą wodą farby i zdejmowaniu z korony owej szlafmycy zakończonej sutym kwasem....(sprawców nie wykryto). W tym czasie zacząłem w gimnazjum moją pierwszą działalność „agitacyjną”, która bardzo smutnie miała się skończyć. Byłem w piątej klasie i miałem lat piętnaście, ale czytałem już wówczas dość wiele. Podczas dziesięciominutowej pauzy wstępowałem na katedrę i opowiadałem kolegom o rewolucji z 1848 r. Między innymi opowiadałem o ucieczce dworu austriackiego z Wiednia, o legii studenckiej, o jenerale Bemie itd.”

O jego wystąpieniu- z donosu klasowego kolegi Klappera- dowiedział się dyrektor szkoły. Po wielu naradach, mimo pozytywnego nastawienia grona pedagogicznego do Ignacego, wydano go w roku 1882 z gimnazjum. Wówczas Kamila Daszyńska, przeniosła się z dziećmi do Lwowa. Miała jednak nowy problem, żaden dyrektor nie chciał przyjąć syna do szkoły. Zdolny Ignacy zajął się samokształceniem. Mając do dyspozycji biblioteki, czytał bardzo dużo prac naukowych z różnych dziedzin. Po latach Daszyński pisał, że był wdzięczny dyrektorowi i szkolnym władzom austriackim za wydalenie. Sam zdobył znacznie większe wykształcenie niż jego koledzy w szkole. Kolejnym miejscem, gdzie Kamila Daszyńska szukała szkoły dla Ignacego, był Drohobycz. Tam w mieście kontrastów społecznych - rodzących się fortun naftowych i wielu ubogich rodzin - Daszyński poznawał nowych ludzi, między innymi Iwana Franko, i zdobywał umiejętności dziennikarskie, bowiem wrażliwy na biedę zaczął pisać o kwestiach społecznych w lokalnej prasie. W Drohobyczu matka Ignacego straciła nadzieję na umieszczenie go w gimnazjum i wyjechała z córką Zosią, by zapewnić

lepsze wykształcenie najmłodszej latorośli. Ignacy zaś udał się do Lwowa, gdzie na politechnice studiował Feliks. We Lwowie Ignacy utrzymywał się z korepetycji w rodzinach rzemieślniczych za miejsce do spania i kilka guldenów. Żył bardzo biednie, ale cieszył się z możliwości tworzenia kolejnego kręgu dyskusyjnego o sprawach społecznych. We Lwowie pogłębiał znajomość języków obcych. Oprócz znajomości języka niemieckiego i ukraińskiego samodzielnie opanował język rosyjski w stopniu, który umożliwił mu dostęp do oryginalnej literatury rosyjskiej. W soboty Ignacy z Feliksem udawali się do kawiarni na czytanie prasy. W „Piekielku”, przy ulicy Krakowskiej, zajmowali stolik na uboczu, i racząc się wodą, spoza stosu gazet obserwowali lwowską bohemę, chłonąc ich literackie dyskusje, żarty, i obserwując pijatyki pod wodzą Jana Lama znanego w Galicji satyryka, pisarza i dziennikarza, który urodził 1838 w Stanisławowie, uczęszczał do gimnazjum w Buczaczu, studiował na uniwersytecie we Lwowie i tam zmarł w 1886 roku.

Dysponując niewielką gotówką bracia Daszyńscy poznawali Galicję Wschodnią przemierzając region na piechotę lub na chłopskich albo żydowskich furach. Zwiedzili Huculszczyznę, Karpaty, Podole, tereny naddniestrzańskie. W wędrówkach przymierali głodem, bo często stać ich było na jeden posiłek w ciągu dnia. Pewnego razu dotarli do Buczacza, gdzie w rynku Ignacy zemdlął z głodu. Dwudziestoletni Ignacy nie mając środków do życia podjął się rocznej pracy guwernera w jednym z podolskich dworów, a w następnym roku pomagał nauczycielowi na wsi nad Bugiem. Po kilkuletniej tułaczce w roku 1888 Ignacy przyjechał do Krakowa, by zdać maturę i zacząć studia uniwersyteckie. Ignacy tak wspominał ten czas: *” Zamieszkała tu matka z siostrą, a ja przy nich, razem z trzema akademikami, u nas mieszkającymi. Na cały rok pogrążyłem się teraz w mądrości gimnazjalne, biorąc zresztą żywy udział w dyskusjach i „pochodach” małego kółka młodzieży uniwersyteckiej. W końcu po sześciu latach od wydalenia z gimnazjum w Stanisławowie Ignacy Daszyński zdał egzamin maturalny w Krakowie.*

Na podstawie pamiętników Ignacego Daszyńskiego wyd. Kraków 1926 opracowała Stanisława Puchała

Igor Megger
Poznań

Rok 2026 Rokiem Błogosławionej Matki Elżbiety Róży Czackiej



Matka Elżbieta w swoim pokoju w Laskach – 1928 r., fot.

Archiwum Franciszkanek Służebnic Krzyża

W maju 2025 roku Senat RP podjął uchwałę by ustanowić rok 2026 Rokiem Błogosławionej Matki Elżbiety Róży Czackiej – prekursorki polskiej tyflogologii. Przypomniano, że była założycielką Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi, Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża i krzewicielką nauki o niewidomych. Prócz Siostry Czackiej na wniosek Senatu uhonorowano Jerzego Giedroycia i Andrzeja Wajdę natomiast Sejm wskazał na Ignacego Daszyńskiego, Stanisława

Staszica, Józefa Czapskiego, Sergiusza Piaseckiego, Mieczysława Fogga i Józefa Maksymiliana Ossolińskiego.

W tym miejscu na naszych łamach warto przypomnieć naszym czytelnikom sylwetkę wielkiej Polki i kresowianki jaką była Siostra Elżbieta Róża Czacka.

Róża Maria Czacka urodziła się 22 października 1876 roku w Pałacu Branickich w Białej Cerkwi koło Kijowa. Pochodziła z zamożnej, ziemiańskiej rodziny, mając w swym rodzie wielu zna-

mienitych przodków w tym słynnego założyciela Liceum Krzemienieckiego Tadeusza Czackiego, była także bratanicą kardynała Włodzimierza Czackiego, natomiast matka jej pochodziła ze słynnego szlacheckiego rodu Ledóchowskich. W 1882 r. wraz z rodziną przenosi się do Warszawy.

Jako młoda dziewczyna odebrała wszechstronne wykształcenie. Dzięki nadzwyczajnym zdolnościom posiadała umiejętność bieglego rozmawiania w czterech językach obcych: francuskim, niemieckim, angielskim i ukraińskim, знаła także łacinę. Miała także doskonały słuch muzyczny, potrafiła jeździć konno, dobrze śpiewała i grała na fortepianie.

Z uwagi na choroby przodków także u młodej Róży już od wczesnych lat pojawiały się problemy ze wzrokiem. Przełomowy był dla niej rok 1894, kiedy to po upadku z konia nastąpiło u niej odklejenie siatkówek. Ówczesna medycyna, pomimo wielkiego bogactwa jej rodziny, była bezradna. Słynny warszawski okulista Bronisław Grepner wręcz otwarcie powiedział jej – wtedy zaledwie 18-letniej dziewczynie, aby zamiast marnować czas na jeżdżenie po światowych sławach, które to wizyty i tak nie przyniosą jej poprawy, aby zajęła się niewidomymi „którymi w Polsce to nikt się nie zajmuje”.

Następne 10 lat swojego życia Róża Czacka poświęciła na naukę alfabetu Braille (jako jedna z pierwszych Polek), poznała wszelkie dostępne materiały dot. tyflologii – nauki o niewidomych, czy odbyła kilka podróży zagranicznych w celach naukowych.

Po 10 latach poznawania świata osób niewidomych, wraz z komitetem organizacyjnym, w skład którego wszedł m.in. dr Grepner współzakłada w 1911 roku Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi. Towarzystwo to powstało na podstawie założonego przez nią rok wcześniej schroniska dla osób niewidomych w Warszawie. Do wybuchu I wojny jej oraz towarzystwa staraniem powstały we Warszawie m.in. szkoła powszechna, ochronka, warsztaty czy biblioteka dla osób niewidomych.

Lata I Wojny Światowej Róża Czacka spędziła w Żytomierzu. Tam też zrodził się pomysł powołania zgromadzenia, które na

swoim celu będzie miało pomoc osobom niewidomym. W 1917 roku Róża przywdziała habit przyjmując imię s. Elżbieta. Już następnego roku, bo w listopadzie 1918 powołuje, za zgodą ówczesnego prymasa kard. Kakowskiego, Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża, którego s. Elżbieta została przełożoną generalną.

Okres międzywojenny to czas, kiedy to siostra Elżbieta buduje swoje dzieło największe, dzieło do dziś znane w całym kraju – Laski.



Kaplica i dom św. Franciszka w Laskach lata 30-te XX w., fot. Archiwum Franciszkanek Służebnic Krzyża

W 1921 roku zgromadzenie otrzymuje dar w postaci pięciu mórg ziemi we wsi Laski koło Warszawy. To tam siostra Elżbieta rozpoczyna budowę domu generalnego zgromadzenia jak i ośrodka dla dzieci niewidomych. Z Warszawy do Lasek przeniesiona zostaje szkoła i warsztaty. Buduje się internat, stałe miejsca zamieszkania dla dzieci porzuconych, ale także i wydaje się czasopismo, powstaje biblioteka, odbywają się rekolekcje. Prócz tego powstawały pla-

cówki na terenie Warszawy, a w planach była budowa domu dla samotnych niewidomych kobiet we wsi Żułowo k. Krasnegostawu.

Swoim zapalem S. Elżbieta angażuje do pracy także mężczyzn. Wielce pomaga jej kapelan Lasek ks. Kornilowicz, oraz były żołnierz-ułan spod Bobrujska Antoni Marylski, który jako świecki (świecenia przyjął dopiero dwa lata przed śmiercią w 1971 r.) całe swe życie związał z dziełem Lasek.

Siostra Elżbieta jest także współtwórczynią polskiej wersji systemu brajlowskiego – w 1932 wraz z siostrą Teresą Landy opracowała tzw. skróty brajlowskie, które po konsultacjach uzyskały w 1934 roku zatwierdzenie Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego jako obowiązujące w Polsce.

Okres okupacji jest zarówno dla Siostry Elżbiety, jak i dla jej dzieła bardzo ciężki. W czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 siostra Czacka zostaje ciężko ranna tracąc oko. Zakład w Laskach ulega zniszczeniu w 75%, zniszczeniu ulegają także budynki przy ul. Wolność we Warszawie.

Niemcy rozwiązują stowarzyszenie, ale pozwalają działać siostram w Warszawie i w Laskach. Siostra Czacka pomaga każdemu - do Lasek trafiają także sieroty wojenne niebędące niewidomymi. W tym miejscu należy wspomnieć, że w latach 1942-1945 kapłanem Lasek, był ks. Stefan Wyszyński – późniejszy „Prymas Tysiąclecia”, który siostrę Czacką poznał już w 1926 roku. Przed trafieniem do Lasek pełnił funkcję kapłana w zakładach sióstr w Kozłowie na Lubelszczyźnie oraz w Żułowie, gdzie w 1939 roku trafiła część sióstr i podopiecznych.

We wszystkich placówkach przez całą okupację czynnie pomagano polskiemu podziemiu. Decyzją Siostry Czackiej ośrodek w sierpniu 1944 roku przyłącza się do pomocy powstańczej Warszawie. Tuż pod boki Niemców powstaje powstańczy szpital, dostarczana jest broń walczącej stolicy, ale także i oddziałom AK przebijającym się z Kampinosu do Warszawy. Przejście frontu 1944/45 powoduje dalsze zniszczenia zakładu, o budynkach w Warszawie nie wspominając.

Zniszczenia i przeżycia wojenne, niepewność wobec nowej władzy powodują pogorszenie stanu zdrowia s. Elżbiety. W grudniu 1948 przeszła udar mózgu, po czym 12 czerwca 1950 zrezygnowała z funkcji przełożonej generalnej w przekazanym do sióstr liście „Do moich dzieci małych i dużych”, a jej następczynią została s. Wiesława Benedykta Walicka-Woyczyńska. Siostra Elżbieta przez ostatnie dziesięć lat swojego życia była bardzo ciężko chora, a w ostatnich dniach sparaliżowana.

Zmarła w opinii świętości 15 maja 1961 o godzinie 17:15 w Laskach. 19 maja odbyły się uroczystości pogrzebowe pod przewodnictwem kard. Stefana Wyszyńskiego który wygłosił słowa:

Testamentem Matki jest jej życie. Miała ona dwoje rąk, nie miała oczu, miała serce jedno. Tym jednym sercem i dwojgiem rąk wiązała Dzieło i Zgromadzenie.



Ks. Prymas Wyszyński z Matką Elżbietą Czacką i Marią Okońską w Laskach, fot. Archiwum Franciszkanek
Służebnic Krzyża

Początkowo została pochowana na cmentarzu leśnym w Laskach. W grudniu 2020 została ekshumowana, a jej doczesne szczątki zostały przeniesione z cmentarza

leśnego do sarkofagu znajdującego się w jej dawnym pokoju, a obecnie kaplicy Matki Bożej Anielskiej Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Niewidomych im. Róży Czakkiej w Laskach.

Ten mały, liche wręcz cmentarz w Laskach skrywa groby wielu zasłużonych Kre-

sowian. Prócz współpracowników siostry Elżbiety, miejsce spoczynku znalazł tam także pochodzący z Klebanówki na Podolu ksiądz Tadeusz Fedorowicz (1907-2002) – kapelan 4 DP, kierownik duchowy Zakładu dla Ociemniałych w Laskach, organizator Krajo-

wego Duszpasterstwa Niewidomych, spowiednik św. Jana Pawła II oraz ks. Janusz Popławski z Juśkowiec na Wołyniu, prezes Stołecznego Oddziału TMLIKPW.

Ale wróćmy jeszcze do Siostry Elżbiety. Jej dzieło przetrwało okres PRL i istnieje do dziś. Obecnie (za stroną ośrodka): *W Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Laskach do samodzielnego życia przygotowuje się około 300 niewidomych i niedowidzących dzieci pochodzących z całej Polski. Praca z niewidomymi dziećmi zaczyna się w Laskach w Dziale Wczesnego Wspomagania Rozwoju Niewidomego Dziecka, gdzie wkrótce po stwierdzeniu dysfunkcji widzenia u dziecka rodzice mogą uzyskać pomoc psychologiczną i tyflopedagogiczną. Dzieci rozpoczynają edukację w przedszkolu, ucząc się niezależności oraz samodzielności w ubieraniu się, jedzeniu i poruszaniu się. Następnie uczą się w szkołach podstawowych i gimnazjach, realizujących program szkolny oraz dalsze przygotowanie do samodzielnej egzystencji. Dalsza nauka jest prowadzona w ogólnokształcących i zawodowych szkołach ponadgimnazjalnych. W Laskach działa również szkoła muzyczna. Dzieci z lekkim upośledzeniem umysłowym uczestniczą w zajęciach o programie dostosowanym do ich możliwości.*

Ośrodek dysponuje obszerną bazą sportowo-rehabilitacyjną i bytową: 3 internaty, kryty basen, hala rehabilitacji ruchowej, centrum rehabilitacji zawodowej z wieloma warsztatami i pracowniami, stajnia z hipoterapią, sala konferencyjna z klubokawiarenką

To dzieło, a pamięć? Proces beatyfikacyjny rozpoczął się w 1987 roku. Przez wiele lat tkwił na szczeblu diecezjalnym, by w 1998 trafić do Rzymu. Tam w 2017 wydano dekret o heroicznosci jej cnót, ale brakowało cudu za jej wstawiennictwem do zakończenia jej procesu. 7 października 2020 papież Franciszek uznał cud za jej wstawiennictwem, jakim było uzdrowienie 7-letniej dziewczynki która doznała w wyniku wypadku przygniecenia konstrukcją huśtawki, ciężkiego urazu głowy z poważnym uszkodzeniem twarzoczaszki i utratą przytomności. Beatyfikacja odbyła się

12 września 2021 w świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie wraz z beatyfikacją kard. Stefana Wyszyńskiego.

W 2009 roku, pośmiertnie przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego odznaczona została Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Krzyż Oficerski tegoż orderu otrzymała już w 1925 roku z rąk prezydenta Stanisława Wojciechowskiego.

Na fasadzie pałacu Branickich w Białej Cerkwi (miejscu jej urodzenia) umieszczono dwujęzyczną tablicę pamiątkową informującą o tym wydarzeniu oraz wmurowano inną dwujęzyczną tablicę pamiątkową przy wejściu do kościoła św. Jana z Dukli w Żytomierzu, do którego często uczęszczała. W 2021 roku otwarto w Laskach jej izbę pamięci, w której eksponowane są pamiątki pozostawione przez nią, m.in.: brajłowska maszyna do pisanie, zegary brajłowskie, klęcznik, łóżko, habit, sandały czy włosienica. W tym roku powstał także film dokumentalny o jej życiu pt. „Widzieć w ciemności”, w tym też roku ukazał się znaczek pocztowy z jej podobizną.

Na koniec dodajmy że obecnie Siostry działają również na Kresach południowo-wschodnich. W 1991 r. siostry franciszkanki z Lasek założyły w Starym Skałacie k. Tarnopola dom zakonny. Od 2012 r. funkcjonuje w nim Centrum rehabilitacji i wczesnej pomocy niewidomym dzieciom oraz ich rodzicom im. Św. Jana Pawła II „Światło Nadziei”. Siostry mają także swój dom w Żytomierzu. W 2023 r. siostry franciszkanki ze Skałatu Starego wraz z siostrami z Żytomierza otrzymały Medal Świętego Brata Alberta od Fundacji im. Brata Alberta za „wieloletnią pracę na rzecz osób z niepełnościami, potrzebujących pomocy i ofiar wojny na Ukrainie.

Fotografie pochodzą ze strony www.laski.edu.pl

Jerzy Miller
Poznań

Kalendarium Pamięci Narodowej

cz. I - 10 luty 1940

10 luty 2026 to kolejna rocznica rozpoczęcia barbarzyńskiej deportacji Polaków ze Wschodnich Kresów II Rzeczypospolitej „Na nieludzką ziemię”, to stale warto przypominać że było to następstwem zbrodniczej umowy Hitler-Stalin z 28 sierpnia 1939 r.

Z dniem 17 września 1939 r. gdy Armia Czerwona zdradziecko napadła na Polskę zajmując wschodnie kresy RP nastąpiły ludobójcze zbrodnie wojenne na polskich jeńcach wojennych i kresowej ludności Polski.

W nocy z 9 na 10 lutego 1940 r. sowiecki aparat represji przeprowadził pierwszą masową deportację kresowych Polaków na Syberię i do Kazachstanu. Wszystkie deportacje były przemyślanymi operacjami, uderzały bowiem w dużą część patriotycznego środowiska kresowego mogącego się w przyszłości przeciwstawić sowietyzacji Kresów. Już w kolejnej, masowej deportacji z 13 na 14 kwietnia 1940 roku wywieziono do azjatyckiej części ZSRR 61 tysięcy Kresowiaków.

Deportacja objęła rodziny jeńców wojennych którzy zostali zamordowani w Katyniu, Miednoje, Twerze, Charkowie. W tej deportacji przeważały kobiety, dzieci i osoby starsze.

III wywózka miała miejsce z 28 na 29 czerwca 1940 r. obejmując 79 tysięcy ludzi którzy zostali zesłani na leśne treny nad środkową Wołgą i Środkowy Ural.

Ostatnią deportację przeprowadzoną od 28 maja 1941 r. obejmując 46 tysięcy osób z całych Kresów. Przyjęte później przez historyków dane dot. liczby deportowanych Polaków na nieludzką ziemię są szacowane na około 900 tysięcy do 1,8 miliona osób.

Na podstawie wielu wiarygodnych świadectw, wspomnień wywożonych Kresowiaków można podać dzisiaj, że spośród czterech deportacji, jakie NKWD przeprowadził do wybuchu wojny

niemiecko rosyjskiej 22 czerwca 1941 r. to właśnie I deportacja pochłonęła najwięcej ofiar.

W tej masowej I deportacji, bez zapowiedzi, przy mrozie sięgającym minus 40 stopni Celsjusza wywożone rodziny stłoczone w wagonach wobec braku wody i żywności zapadały na liczne choroby, dziesiątkując dzieci i osoby starsze.

We wspomnieniach zesłańców przewija się że cała trasa na Syberię usłana była grobami zmarłych dzieci. Jest tylko uwaga, że nie było żadnych grobów, gdyż nie było żadnych możliwości, żeby godnie te dzieci i inne osoby godnie pochować. Doły śmieci odtąd towarzyszyć będą Polakom zamordowanych na nieludzkiej ziemi, czy w czasie ludobójstwa Polaków na kresach w czasie II Wojny Światowej.

Uwolnienie pewnej części deportowanych to wybawienie dla obywateli polskich na mocy zawartego 30 lipca 1941 roku układu Sikorski-Majski. Z perspektywy czasu można stwierdzić, że pomimo trudnych warunków polskich zesłańców, wydostali się z sowieckiej niewoli, zachowując polskość, pomagającą im walczyć dalej o wolną Polskę.

Dobrze że współcześni Kresowiacy przekazują swoim dzieciom, wnukom miłość do Ojczyzny dumy z osiągnięć cywilizacyjnych Kresów i tragicznych wydarzeń związanych z deportacją Polaków na „nieludzką ziemię”.

Redakcja

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 171

Hasła krzyżówki z numeru 171 : 1) Łomnicki, 2) Ajdukiewicz, 3) Janicki, 4) Wiesenthal, 5) Hussak, 6) Śmigły, 7) Zaborowski, 8) Komorowski, 9) Daszyński, 10) Bruckner, 11) Siekierka. Hasło: Michałowski. Nagrodę książkową otrzymuje pan Kazimierz Jaworski z Jedlicza B – gratulujemy!

Urodzony w Tarnopolu **prof. Kazimierz Michałowski** (1901-1981) był jednym z najwybitniejszych polskich archeologów – był twórcą polskiej szkoły archeologii śródziemnomorskiej i prekursor nubiologii. W tym roku na naszych łamach opublikujemy artykuł o jego postaci.



Marta Morawiecka

Wrocław

Śp. Teresa Gaj z domu Partyka (1926-2025)
Sanitariuszka Armii Krajowej, żołnierz niezłomny,
wybitny lekarz



Teresa Gaj urodziła się 28 czerwca 1926 roku w rodzinie Marii i Stanisława Partyków w Czortkowie w województwie tarnopolskim na południowo-wschodnich Kresach II Rzeczypospolitej. W styczniu 1942 roku rodzina przeniosła się na Lubelszczyznę i zamieszkała w miejscowości Ratoszyn. W związku z aktywnością rodziców w Armii Krajowej, również Teresa w wieku 16 lat podjęła działalność konspiracyjną składając przysięgę i przyjmując pseudonim „Kotwica”. W ramach Wojskowej Służby Kobiet – po przeszkoleniu w zakresie obsługi broni i pomocy medycznej – pełniła obowiązki łączniczki i sanitariuszki. Partyzanci korzystali z gościnności i wsparcia państwa Partyków.

Wiosną 1944 roku oddziały majora Hieronima Dekutowskiego „Zapory” stacjonowały w rejonie zamieszkania rodziny Partyków. Miejscowe kobiety postanowiły przekazać partyzantom wielkanocne wypieki. Dostarczono je do kwatery dowódcy w Borowie. Wówczas nastąpiło pierwsze spotkanie „Zapory” z „Kotwicą”, które z czasem przekształciło się w więź narzeczeńską.

W lecie 1944 roku Teresa podjęła próbę dołączenia do oddziału „Zapory” jako sanitariuszka. Ostatecznie jednak pod wpływem zabiegów jej ojca u bezpośredniego dowódcy „Opala” starania te zostały udaremnione. Teresa zdecydowała więc o kontynuowaniu nauki w gimnazjum Sióstr Urszulanek w Lublinie. Zarówno wówczas, jak i podczas studiów medycznych we Wrocławiu, utrzymywała kontakt z antykomunistycznymi oddziałami partyzanckimi i widywała się z „Zaporą”. Ostatnie ich spotkanie miało miejsce krótko przed aresztowaniem Hieronima Dekutowskiego we wrześniu 1947 roku. Podczas trwającego śledztwa zabiegała o możliwość widzenia się z nim w warszawskim więzieniu na Rakowieckiej, lecz w związku z grożącym jej niebezpieczeństwem została od tego zamiaru przez bliskich niemal siłą odwiedziona.

Major Hieronim Dekutowski ps. Zapora wraz ze swymi podkomendnymi wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie z 3 listopada 1948 roku skazany został na karę śmierci. Wyrok wykonano 7 marca 1949 roku strzałem w tył głowy.

Teresa Partyka, po mężu Gaj, ukończyła we Wrocławiu studia medyczne i została wybitną specjalistką w dziedzinie neurologii. Większość swego życia zawodowego związała z Wrocławiem pracując w Klinice Neurologii Szpitala im. Marciniaka. Na początku lat osiemdziesiątych państwo Teresa i Jerzy Gaj zaprzyjaźnili się z Jadwigą i Kornelem Morawieckimi. Pani Teresa mając jednoznacznie negatywny stosunek do komunizmu popierała opozycję demokratyczną lat siedemdziesiątych, ruch związkowej Solidarności, a w latach stanu wojennego wspomagała działalność podziemnej Solidarności Walczącej.

Pani Teresa przez dziesiątki lat opiekowała się ofiarnie swoim jedynym niepełnosprawnym synem. Jej wiara i upór odmieniały sytuacje beznadziejne, ukazując siłę matczynej miłości.

W ostatnich dekadach życia jako świadek historii dzieliła się swymi wojennymi i powojennymi przeżyciami w wywiadach i spotkaniach. W 2023 roku za całokształt działalności i wierność Ojczyźnie Dolnośląski Okręg Światowego Związku Żołnierzy AK

przyznał Jej Medal „Wierni AK-owskiej Przysiędze”. Niepodległa i suwerenna Polska pozostała przedmiotem Jej troski do końca.

Zmarła w niedzielę 12 października 2025 roku we wrocławskim szpitalu przy ul. Koszarowej. Pogrzeb śp. Teresy Gaj odbył się we Wrocławiu 24 października 2025 roku. O godz. 11.30 odprowadzona została msza święta w kościele pw. św. Wawrzyńca przy ul. Bujwida, po której kondukt pogrzebowy przeszedł na miejsce ostatniego spoczynku na pobliskim cmentarzu.

Dobry Jezu, a nasz Panie, daj Jej wieczne spoczywanie!

Hanna Dobias-Telesińska
Poznań

Zmarł Władysław Siemaszko

Z głębokim żalem informujemy o śmierci wielkiego badacza Ludobójstwa Wołyńskiego, Laureata naszej statuetki „Semper Fidelis” p. Władysława Siemaszko.



Władysław Siemaszko, pseudonim „Wir”, urodził się 8 czerwca 1919 r. w Kurytybie (Brazylia), był prawnikiem, działaczem kresowym, badaczem tragedii polskiej ludności na Wołyniu w okresie II wojny światowej. Syn polskiego dyplomaty. W latach 1924–1944 mieszkał na Wołyniu. W 1940 r. został skazany przez sąd sowiecki na karę śmierci, później zamienioną na 10 lat łagru. Został osadzony w więzieniu w Łucku do czerwca 1941 r., gdzie uniknął masowej egzekucji przeprowadzonej przez

NKWD. W latach 1942–1944 walczył w szeregach AK jako oficer 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty. W 1945 r. został ponownie aresztowany przez władze radzieckie. Przekazany polskim władzom komunistycznym przebywał w więzieniu do 1948 r. Po wojnie ukończył Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Do chwili przejścia na emeryturę pracował jako radca prawny. W 1984 r., po opublikowaniu w czasopiśmie „Nurt” artykułu Jerzego Tomaszewskiego, oskarżającego Armię Krajową o mordowanie ukraińskich cywilów, środowisko kombatanckie żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji AK przystąpiło do zbierania relacji świadków na temat wydarzeń z lat 1943–1944. Efektem były publikacje Władysława Siemaszki oraz jego córki Ewy dotyczące zbrodni popełnionych przez ukraińskich nacjonalistów na Polakach na Wołyniu. Władysław Siemaszko osobiście organizował pomoc materialną dla Polaków zamieszkujących Wołyń.

Ewa i Władysław Siemaszko opublikowali wiele pozycji dotyczących martyrologii Polaków na Wołyniu w latach II wojny światowej. Do najważniejszych należą: „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945”, „Terror ukraiński i zbrodnie przeciwko ludzkości dokonane przez OUN-UPA na ludności polskiej na Wołyniu w latach 1939–1945”, „Wołyń naszych przodków. Śladami życia – czas zgłady. Album z okazji 60. rocznicy ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich OUN-UPA na ludności polskiej Wołynia”, „Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu 1939–1945”, Władysław Siemaszko napisał wraz z J. Turowskim. Za swą działalność Ewa i Władysław Siemaszko otrzymali wiele nagród i odznaczeń. Władysław m.in. jest kawalerem Orderu Orła Białego.

Za ich ogromne zasługi Zarząd Poznańskiego Oddziału TMLi-KPW przyznał w 2013 r. Ewie i Władysławowi Siemaszkom wyróżnienie w postaci statuetki Lwa Semper Fidelis. Ich bezkompromisowe dążenie do ukazania prawdy o tragedii na Wołyniu zasługuje na uznanie i wielki szacunek.

Władysław Siemaszko zmarł 12 grudnia br. w pięknym wieku 106 lat. Z momencie śmierci był trzecim najstarszym żyjącym mężczyzną Polakiem.

Pogrzeb Władysława Siemaszki, weterana II wojny światowej i najstarszego żołnierza AK, odbył się 18 grudnia 2025 r. o godzinie 13:00 w Katedrze Polowej Wojska Polskiego, a po uroczystościach został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim - wojсковym, w ceremonii o charakterze państwowym.

Hanna Dobias-Telesińska
Poznań

Zmarł Andrzej Kuczyński



©AGENCJA wyborcza.pl

Z ogromnym smutkiem i żalem informujemy, że w wieku 84 lat 18 stycznia 2026 r. zmarł nasz Kolega i Przyjaciel Andrzej Kuczyński. Zmarły był wieloletnim członkiem naszego Towarzystwa. W ostatnią drogę odprowadziliśmy go 23 stycznia 2026 r. na cmentarzu przy ul. Nowina w Poznaniu.

Andrzej Kuczyński urodził się 28 kwietnia 1941 r. we Lwowie. Dwa miesiące później do Lwowa weszli Niemcy. Mama Genowefa z domu Podlubny urodziła się w Stanisławowie, szkołę średnią ukończyła u ss. Urszulanek, a romanistykę studiowała na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Ojciec

Jan Konstanty Kuczyński pochodził z Ziemi Dobrzyńsko-Chełmińskiej. Był absolwentem korpusu kadetów w Chełmnie oraz w Rawiczu i jeszcze przed wojną rozpoczął studia weterynaryjne na UJK we Lwowie. Podczas wojny działał w konspiracji w Armii Krajowej, podobnie jak młodsza siostra matki Genowefy – Maria Podlubny, matka chrzestna Andrzeja.

Po wojnie od 1946 r. Andrzej Kuczyński wraz z rodziną zamieszkał w Poznaniu. Jako nastolatek w 1956 r. przeżył burzliwe wydarzenia Poznańskiego Czerwca. 28 czerwca choć był przy ul. Kochanowskiego, nie wiedział, że w tej okolicy spędzi ostatnie godziny swojego życia Romek Strzałkowski, który był młodszym kolegą Andrzeja z klasy Niższej Szkoły Muzycznej (lata 1950 – 1957). Uczęszczali równolegle do dwóch szkół: do powszechnej i muzycznej. Jak wspominał Andrzej, Romek był blondynkiem z nienagannym przedziałkiem we włosach na głowie. Jedynek. Mieszkał blisko szkoły muzycznej przy ulicy Kościuszki. Zawsze po zakończeniu zajęć przychodziła po niego mama. Czasami obydwój rodzice. Rzadziej tato... Dla swoich rodziców był wszystkim.

W 1964 r. Andrzej ukończył wydział prawa na Uniwersytecie Adama Mickiewicza. Cała Jego praca zawodowa była związana z dziennikarstwem. Rozpoczął ją w „Głosie Wielkopolskim”, potem pracował w prasie wojskowej w tygodniku „Wiraże” i zakładowej w „Stomilu”. Wrócił do „Głosu Wielkopolskiego” do działu sportowego, który prowadził jako kierownik. W latach 1976 – 2000 r. kierował oddziałem „Sportu” w Poznaniu. Z katowicką redakcją współpracował wiele lat. Współpracował także z „Gazetą Poznańską”, „Expressem Poznańskim”, „Przeglądem Sportowym”, „Tempem”, „Życiem Warszawy” i „Dziennikiem Polskim”, programem I Polskiego Radia i TVP. Od 1976 roku współpracował z Polską Agencją Prasową. W ostatnich latach również z lokalnym portalem internetowym „Kibic Poznański.pl”. Przez wiele lat redaktor Andrzej Kuczyński był korespondentem Polskiej Agencji Prasowej. Na emeryturze współpracował w dalszym ciągu ze „Sportem”, PAP i portalem Kibic Poznański. Był prezesem Klubu Dziennikarzy Spor-

towych w Poznaniu. W latach 1976 – 2015 pełnił funkcję rzecznika prasowego Polskiego Związku Hokeja na Trawie, był także kronikarzem tego Związku, również autorem wielu publikacji o hokeju na trawie, w tym książki „Święta gra azjatyckich magów”. Był niekwestionowanym ekspertem tej dziedziny sportu w Polsce.

Redaktor Andrzej Kuczyński otrzymał wiele odznak i odznaczeń sportowych, a także Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi. Podczas Poznańskiej Gali Sportu 13 stycznia 2016 r. Andrzej Kuczyński został uhonorowany przez Prezydenta Miasta Poznania Jacka Jaśkowiaka tytułem „Supersenior Sportu” za wieloletni wkład w rozwój poznańskiego sportu. W 2017 r. odznaczony został medalem „Za zasługi dla województwa Wielkopolskiego”.

Do Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Andrzej i Jego mama Genowefa należeli od początku istnienia Oddziału, tj. od 23 lutego 1989 r. Jako dziennikarz umożliwiał nagłaśnianie w mediach wszystkich poczynąń naszego Oddziału TMLiKPW, takich jak akcje charytatywne „Serce dla Lwowa” organizowanych przed świętami Bożego Narodzenia, informował media o organizowanych przez nasz Oddział imprezach, wykładach, uroczystościach. Współredagował publikację o sportowcach lwowskich pt.: „Lwów i Kresy Południowo-Wschodnie w dziejach sportu polskiego”. Jego największym osiągnięciem w Towarzystwie było zorganizowanie historycznego meczu piłki nożnej między reaktywowaną Pogonią Lwów i Wartą Poznań, który odbył się w 2012 r. w ramach Dni Lwowa i Kresów, w 100 rocznicę powstania Klubu Warta Poznań. To wielkie przedsięwzięcie było szeroko omawianym wydarzeniem w Poznaniu, któremu Andrzej Kuczyński poświęcił wiele sił, energii i doświadczenia. Jako nestor poznańskich dziennikarzy sportowych uznawany był za „chodzącą encyklopedię” wielkopolskiego sportu i największego promotora hokeja na trawie w Polsce.

Andrzej Kuczyński należał do tego pokolenia Lwowian, które miasto swojego urodzenia poznawało już po wojnie, ale wspomnienia rodziców okazały się tak fascynujące, że dzieci przyswoiły sobie całe bogactwo tego zjawiska, któremu na imię

“Lwów” i kontynuują wysiłek rodziców, żeby pamięć o nim przetrwała na zawsze. Sprawy lwowskie zawsze były Mu bardzo bliskie. Za swe zasługi dla Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w 2007 r. Andrzej Kuczyński odznaczony został Złotą Odznaką TML i KPW.

Będziemy wspominać Kolegę i Przyjaciela jako Człowieka o niezwykłym charakterze, dobroci i inteligencji. Do niemal ostatnich chwil interesował się sprawami Towarzystwa.

Igor Megger
Poznań

Odeszła jedna z ostatnich takich Dam



21 grudnia 2025 środowiska kombatanckie obiegła wieść o śmierci w Krakowie major Heleny Jabłońskiej, Kresowianki, Sybiraczki, żołnierza I Armii Wojska Polskiego, uczestniczki bitwy pod Lenino, jednej z pierwszych Dam orderu Virtuti Militari odznaczonych za czyny z okresu II Wojny Światowej. Zmarła była także jedną z ostatnich odznaczonych tym Orderem – wg. danych z Instytutu VM w War-

szawie, w momencie jej śmierci pozostało tylko 10 żyjących Dam i Kawalerów tego szaczonego odznaczenia. Była też prawdopodobnie ostatnią pochodzącą w województwa tarnopolskiego. Z tej smutnej przyczyny uznałem, że warto przybliżyć czytelnikom jej sylwetkę.

Helena Jabłońska zd. Figura urodziła się 4 sierpnia 1923 roku we wsi Horodyska (występuje także pisownia Horodyszcze) na pograniczu woj. tarnopolskiego i stanisławowskiego (pow. Rohatyn – 2 km od granicy województw³) w rodzinie rolników jako najstarsza z siedmiorga dzieci Władysława i Marii Figurów. W latach 30 wraz z rodziną przenosi się do wsi Kolonia Dębowe w pow. zło-czowskim, gdzie ojciec prowadził 7 hektarowe gospodarstwo i gdzie rodzina mieszkała do wybuchu wojny.

10 lutego rodzina Figurów wywieziona zostaje przez Sowie-tów na Sybir do miejscowości Jurta na północnym Uralu, gdzie He-lena wraz z ojcem i bratem pracowała przy wyrębie lasu, spławianiu drzewa i przy sianokosach. Na mocy polsko-radzieckiego układu Sikorski-Majski rodzina uzyskała zgodę na przeniesienie do koł-chozu, gdzie Helena pracowała jako furman. Na zesłaniu należała do powstałego w czerwcu 1943 r. Związku Patriotów Polskich.

W maju 1943 Helena, jako 20-letnia kobieta, zgłasza się do formowanej polskiej armii w ZSRR, gdzie trafia do świeżo powsta-łej pierwszej polskiej jednostki – do 1 Dywizji Piechoty im. Tade-usza Kościuszki. Helena Figura przydzielona zostaje do 1 samo-dzielnego batalionu kobiecego im. Emilii Plater tzw. „Platerówek”, gdzie po przeszkoleniu zostaje strzelcem wyborowym. W pierwszej kolejności przyczyną jej zgłoszenia się do wojska było dostanie się do Polski oraz wydostanie się z ZSRR. Takie losy były wielu Pola-

³ Duży problem redakcja miała z ustaleniem w jakiej miejscowości p. Major się urodziła z powodu pogranicza dwóch województw, zmian przynależności gmin i powtarzalności nazwy wsi. Pani Major we wszystkich relacjach i dokumentach jako miejsce swego urodzenia podaje wieś Horodyska, pow. Rohatyn, którą to według podanych w jej biogramie źródeł w 1934 roku wyłączono z pow. Brzeża-ny i włączono w 1934 r. do pow. Rohatyn. Jednak według źródeł urzędowych w 1934 r. z pow. brzeżańskiego wyłączono trzy gminy, w tym Horodyszcze (inna o tej samej nazwie) i włączono ją do pow. tarnopolskiego. Prawdopodobnie chodzi więc o Horodyska (na mapach widnieje jako Horodyszcze) (pow. Rohatyn), która znajduje się pomiędzy Rohatyniem a Brzeżanami, o której jednak brak informacji by zmieniała przynależność wojewódzką i cały czas należała do Stanisławow-skiego.

ków, którzy z różnych przyczyn nie trafili lub nie zdążyli do Andersa. Jaka szkoda, że dziś ich losy są pomijane ...

1 września 1943 z batalionu „Platerówek” została wyłączona 1 kompania fizylierek, która wyruszyła wraz z 1 DP na front. 12 października wraz z Dywizją ruszyła ona do ataku na pozycje niemieckie w okolicach wsi Lenino na terenie dzisiejszej Białorusi – tam Dywizja przeszła swój bojowy chrzest.

W czasie bitwy pod Lenino szeregową Helenę Figurę wraz z trzema innymi „platerówkami” przydzielono jako żołnierzy ochrony wydziału operacyjnego sztabu dywizji do ochrony samochodu wiozącego dokumenty sztabowe. Z narażeniem życia i pomimo ran będąc ciężko ranna w nogę ratowała cenne dla wojska dokumenty z płonących wozów. Rany odniosła także służąca z nią Władysława Wysocka, natomiast dwie żołnierki zginęły: Lidia Karczewska z ran zmarła następnego dnia, Aniela Krzywoń ze wsi Puźniki w pow. buczackim zginęła na miejscu - jako pierwsza Polka odznaczona została najwyższym radzieckim tytułem honorowym – tytułem Bohatera Związku Radzieckiego (w grupie 3 Polaków poległych pod Lenino).

Oddajmy głos wspomnieniom Heleny Jabłońskiej z tamtych, tak ważnych dla naszej historii wydarzeń:

„Z koleżankami Anielą Krzywoń, Lidią Karczewską i Władysławą Wojciechowską-Wysocką ochraniałyśmy IV oddział sztabu dywizji, czyli dokumenty tego sztabu. Szefem był kapitan Sygał, a kwatermistrzem major Mikołaj Lubczyk. W czasie silnego nalotu ze strony niemieckiej znaleźliśmy się prawie w centrum bombardowania. Dokumenty były w tym czasie na samochodzie, a my (byłyśmy) wartownikami tego samochodu. Od nalotu zginął szofer i kol. Lidia Karczewska.

Po drugim nalocie zostałam ciężko ranna w kolano. Do kontuzji nie chciałam się przyznać, bo nie chciałam wracać do tyłu. Chciałam iść do Polski w mundurze z bronią w ręku. Na rozkaz kwatermistrza, który wcześniej oberwał, miał rękę zabandażowaną, zeskoczyłam z samochodu i koleżanki będące w łączności zabrały

mnie do swojej ziemianki i założyły opatrunek. W tym czasie wybuchł pożar na samochodzie i Aniela Krzywoń żywcem spłonęła.”

Po kilku operacjach ratujących nogę, i 14 miesięcznym pobycie w szpitalach, Helena Jabłońska została skreślona ze stanu jednostki, i odesłana na rentę. Z głodową rentą w wysokości 93 rubli odesłana została z powrotem na Ural do swojej rodziny na zesłaniu. Po 6 tygodniach podróży, przymierając głodem, żywiąc się u innych polskich zesłańców, wróciła do rodziny. Matka przyjęła ją gotowaną pokrzywą, gdyż nic innego nie miała. O dwóch kulach zaczęła na nowo zesłańcze życie.



Lenino – Mal. Michał Bylina

Do Polski trafiła wraz z rodziną w kwietniu 1946 roku. Jeden z braci poległ na Wale Pomorskim. W kraju zamieszkała u swojej siostry Anny – żołnierza 2 Armii WP we wsi Platerowo (która to

założona została przez zdemobilizowane „Platerówki”. Tam też założyła rodzinę wychodząc za mąż za ociemniałego inwalidę wojennego.

Helena przez cały czas borykała się, prócz kalectwa, z problemami finansowymi z powodu zapomnienia przez państwo polskie. Po ukończeniu Zawodowej Szkoły Krawieckiej pracowała jako krawcowa do przejścia w 1957 roku na rentę inwalidzką. Zgorzkniała na skutek chorób i ubóstwa w 1967 roku napisała do czasopisma „Przyjaciółka” list z jej wspomnieniami z zesłania i bitwy pod Lenino. Dopiero wtedy, wskutek publikacji, jej losem zainteresowały się władze państwowe.

W 1969 roku za udział w bitwie pod Lenino odznaczona została najwyższym polskim odznaczeniem wojskowym – Orderem Virtuti Militari – Krzyżem Srebrnym (kl. V). Odznaczona wieloma innymi odznaczeniami krajowymi, by wymienić tylko najważniejsze: „Krzyż Walecznych”, „Odznaka Grunwaldzka” czy „Krzyż Bitwy pod Lenino”.

Zmarła była zaangażowana w pracę Związku Inwalidów Wojennych, Związku Bojowników o Wolność i Demokrację i Klubu Kombatantek. Od 2002 roku współpracowała z Fundacją „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek” (ob. Fundacja Generał Elżbiety Zawackiej). W 2004 roku została członkinią Klubu Kawalerów Virtuti Militari. Wystąpiła w filmie dokumentalno-fabularyzowanym *Platerówki* z 2019 roku.

12 września 1973 roku została awansowana na stopień sierżanta, 8 maja 1981 na stopień podporucznika, 9 marca 2001 na stopień porucznika,¹ września 2015 na stopień majora. Do śmierci mieszkała w Krakowie.

Po śmierci Pani major żyje (stan na 1.2.26) 7 Kawalerów i Dam orderu Virtuti Militari (dane z Instytutu VM w Warszawie), wszyscy odznaczeni orderem klasy V (dwie osoby zmarły w styczniu 26). Poniżej zestawiona lista w miarę możliwości z miejscem urodzenia oraz przydziałem wojskowym.

Dziewulak Jan – ur. 1923 r. Dziewule na Wileńszczyźnie – uczestnik bitwy pod Lenino, 1 AWP

Gancarczyk Barbara – ur. 1923 r. Warszawa – Powstanie Warszawski (sanitariuszka), AK

Jarosławów Piotr – ur. 1927 r., żołnierz 2 Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, AK

Ponińska-Konopacka Ewa – ur. 1926 r. Paryż – Powstanie Warszawski (łączniczka), AK

Rakowski Roman – ur. 1924 r. Tymowa k. Brzeska – uczestnik operacji „Burza” we Lwowie, AK

Socha Tadeusz – ur. 1924 r. Czerna k. Dębicy, żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK

Waniak Ireneusz - ur. 1929 r. Działoszyn (łódzkie) – Powstanie Warszawski, 1 AWP

Biogram opracowano na podstawieteczki personalnej ze zbiorów fundacji „Memoriał” im. Generał Elżbiety Zawackiej.

Zdjęcia pochodzą ze strony Instytutu Virtuti Militari na stronę „Facebook”

Redakcja

Pieśni ludowe z Podola z nutami

Cz. XIII – Gdyby orłem być

Przedruk z „Biblioteczka pieśni regionalnych nr. 12 „Podole” pod redakcją Karola Hławiczki, Katowice, lata 30 XX w.

Gdyby orłem być

Słowa: Maurycy Gosławski

Wolno (M. M. ♩ = 40)

mf

1. Gdy-by or-łem być,

mf

1. Gdy-by or-łem

p

łot so-ko-li mieć, Skrzydłem or-łem

lub so-ko-łem u - no-sić się nad Po-do-łem,



2. Droga ziemia ta, myśl ją moja zna.

(2 głos. Droga ziemia ta, myśl ją moja zna, myśl moja.

3 głos. Droga ziemia, myśl ją moja zna!)

Tam najpierwsze szczęście moje, * Tam najpierwsze nie-
pokoje. * Tam najpierwsza łza.

3. Tambym noc i dzień, jak zakłęty cień;

(2 głos. Tambym noc i dzień, jak zakłęty cień, zakłęty;

3 głos. Tambym noc i dzień, zakłęty cień.)

Tambym latał, jak wspomnienie, * Pierś orzeźwiał, czerpał
technienie; * Boże, w orła zmień!

4. Próżno się tych dni obraz duszy śni.

(2 głos. Próżno się tych dni obraz duszy śni, śni duszy;

3 głos. Próżno się tych dni mi obraz śni.)

Zapłacz, matko, gorzkim płaczem, * Nad Podolem, nad tuła-
czem, * Co był miły ci.